

ZBIORY OŚRODKA KARTA

6
1980

**RES
PUBLICA**

spis treści

<u>WIDZIANE Z WARSZAWY</u>	1
NAD GROBEM REFORMY.....	13
MOJA ODPOWIEDŹ NA DRUGĄ ANKIETĘ "DiP"u - - Jerzy Jedlicki.....	27
LEKCJA MIEROSZEWSKIEGO.....	39
METAFIZYCZNE ZŁO NA SCENIE DZIEJÓW.....	47
HISTORIA NAJNOWSZA I HISTORYCY.....	58
<u>STANOWISKA: DUCH KRUCJATY I DUCH WOLNOŚCI</u>	81
<u>PRZEGLĄD PRASY: KŁOPOTY Z SOŁŻENICYNEM</u>	89
<u>TEMATY: "To moja rzecz, bo pospolita"</u>	96
Rozmowa Sikorskiego z Beneszem.....	105
<u>NOTY O KSIAŻKACH</u>	112

 widziane z Warszawy • widziane z Warszawy • widziane z W

NA GORĄCO

Jest druga połowa sierpnia. Od półtora miesiąca strajk wędruje po kraju. W chwili gdy piszemy te słowa ogarnął faktycznie całe Wybrzeże. Władze, które przez blisko sześć tygodni próbowały udawać, że nic się nie dzieje, musiały przerwać milczenie. Wyklęte dotąd słowo "strajk" pojawiło się nareszcie w oświadczeniach oficjalnych i w środkach masowego przekazu. Nie jest to ewenement czysto lingwistyczny. Przywrócenie obywatelstwa słowu dźwigającemu ogromną tradycję masowych i autentycznych ruchów robotniczych, to początek nabywania klas, która rzekomo rządzi Polską od 35 lat, a w rzeczywistości jest - podobnie jak i reszta społeczeństwa - wyzuta z podstawowych praw politycznych, pozbawiona możliwości decydowania o swym losie.

Wydarzenia biegą szybko. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaka będzie sytuacja w Polsce w chwili, gdy czytelnicy dostaną do rąk nasze pismo. Rewolucjonizacja narzucają się jednak już teraz, bez względu na dalszy ciąg wypadków.

Przed wszystkim - obecne przesilenie odsiania przed każdym obserwatorem, nawet najpodatniejszym, argumenty naszej propagandy, rzeczywisty stan rzeczy w naszym kraju. Dla nas są to sprawy oczywiste. Dla świata jednak, fakt że w trudnym momencie system nie ma na swoją obronę innego argumentu, jak niesyt nawołowane aluzje do ewentualnej reakcji "przyjaciół", jak tylekroć już używane i nadużywane frazesy o geopolityce i racji stanu, ma walor przyznania się do całkowitego fiaska ideologicznego i społecznego. Wagę tego wyznania zwiększa jeszcze okoliczność, że sięga się po takie argumenty nie w obliczu anarchii, przemocy na ulicach, niekontrolowanych zaburzeń, ale w momencie, gdy dyscyplina i umiarkowanie mas robotniczych zwracają powszechną uwagę.

Innym elementem kryzysu jest jego par excellence polityczny charakter. Kiedy władze zaczęły się budzić ze stanu błogiego samozadowolenia, w którym pozostawa-

zy przez blisko dziesięć lat, próbowaliśmy najpierw sprowadzić całą sprawę do trudności czyste gospodarczych /"skomplikowała się sytuacja gospodarcza kraju", tak brzmiała uświęcona formuła/. Pomińmy już to, że winę za te trudności próbowano zwałić na okoliczności zewnętrzne. I tak nikogo nie mogło przekonać tłumaczenie kryzysem energetycznym i surowcowym kłopotów kraju, który - jak świadczy jeden rzut oka na mapę geologiczną Europy - należy do najobficiej w tym rejonie zaopatrzonych w różnego rodzaju surowce. Jszszcze mniej przekonujące było powoływanie się na skutki zaburzeń w gospodarce kapitalistycznej, skoro wiadomo było, że nawet to co w gospodarce osiągnęliśmy, zawdzięczamy kredytom zachodnim /jeśli, jak oświadczył w tych dniach premier Babinch, "żyliśmy na kredyt", to jak żylibyśmy bez kredytów?/.

Ważniejsze jest to, że władze próbowały zamaskować fakt, iż krach gospodarczy jest wynikiem chronicznej anomalii doktrynalnej i politycznej. Nie dość bowiem, że uwarunkowania doktrynalne zadecydowały o fałszywych wyborach strategii gospodarczej /kosztowna i samobójcza polityka etatyzacji rolnictwa, rozwój niemal wyłącznie poprzez ogromne siły, niewspółmierne do możliwości gospodarczych inwestycje centralne, słabeowanie infrastruktury prowadzące do dławienia się gospodarki, żeby wymienić tylko największe błędy/, nls dość, że wojna, jaką system centralnego planowania od swych narodzin prowadzi z rynkiem, z prawem popytu i podaży, doprowadziła do zaniku roli pieniądza i uniemożliwiła w praktyce szacunek rentowności jakichkolwiek inicytyw gospodarczych, to jeszcze system polityczny z konsekwencją i sprawnością, na jakie nie mógł się zdobyć w innych dziedzinach, zamykał wszystkie drogi, którymi mogłyby nadejść informacje o rzeczywistych preferencjach społecznych, a także ostrzegawcze sygnały. Nawet z takiego ostrzeżenia jakim był - już dla obsznej ekipy - czerwiec 76, nie skorzystano dla odbudowania jakichś form komunikacji społecznej, dla podjęcia wspólnie ze społeczeństwem próby wydobycia się z trudności. Władza chciała być sama. Gorzkie muszą się jej dziś wydawać

rozkosze tej samotności.

Zakośnie brzmią w tej sytuacji apele do pracujących o wykazanie "odpowiedzialności" - propagandowy leit-motiv ostatnich tygodni. Nie może liczyć na zaufanie - niezbędny warunek wszelkiego działania politycznego w trudnej sytuacji - ktoś, kto tylekroć tego zaufania nadużył. Nie może - z drugiej strony - uznać się za odpowiedzialnego ktoś, kto o niczym nie decyduje, kogo nikt się nie radzi, kto nie dysponuje podstawowymi informacjami. Brak odpowiedzialności wykazały właśnie władze ukrywając same przed sobą i przed społeczeństwem rzeczywisty stan gospodarki nie dopuszczając do dyskusji o najważniejszych dla kraju sprawach, uznając za abeolutny priorytet polityczny zachowanie swego monopolu działania.

Obecnie, gdy kryzys ujawnił się na dobre, propaganda próbuje - narazie niezbyt skutecznie - skierować niszczodowolenie na strajkujących, zerować na zmęczeniu społeczeństwa bałaganem, brakami, ciężarami codziennego życia. Ale ostatni okres wykazał - i co jest jedną z lekcji obecnego kryzysu - kto jest rzeczywiście odpowiedzialny za chaos w kraju. Nie doprowadziły do niego "nieodpowiedzialne jednostki", ani "grupy anarchiczne i antysocjalistyczne". Czynnikiem anarchizującym nasze życie społeczne okazał się samowładny aparat rządzący. To strajkujący robotnicy, to heroiczna cierpliwością hamujący swe zniecierpliwienie ogół społeczeństwa, to wysmiewana i lżona opozycja polityczna stanowią dziś w Polsce partię porządku. Porządku nowoczesnego, to znaczy opartego nie na sile, na dyktaturze jednej grupy, na drobiazgowej reglamentacji wszystkich zachowań społecznych, ale na racjonalnej organizacji współżycia obywatelskiego, na szacunku dla różnych, autentycznych potrzeb, na współudziale w decyzjach i w odpowiedzialności. Niezależnie od tego jak skończy się obecne przesilenie, ta partia porządku musi w ten czy inny sposób dojść do głosu, jeśli ma przetrwać jako społeczeństwo i jako naród.

W przemówieniu Edwarda Gierka z 19 sierpnia - ostatnim dokumencie oficjalnym jakim w tej chwili dysponujemy - padły słowa o dyskusji i dialogu, o kompromisach i uzgodnieniach. Padło zdanie: "Musimy się porozumieć..." Jest to język, na który nasze społeczeństwo - mimo tytułu zawodów - jest bardzo osułe. Nikt w Polsce nie chce gwałtu, wstrząsów grożących bytowi kraju. Jeśli jednak rozsądek ma wziąć górę, pierwszy krok musi zrobić władza. Musi ona przede wszystkim przestać grać fałszywymi kartami. Nie może jednocześnie wzywać do dyskusji i odmawiać otwarcia kanałów, którymi ta dyskusja mogłaby się odbywać. Nie może opowiadać się za dialogiem, a zarazem odmawiać rozmowy z autentycznym przedstawicielstwem strajkujących robotników, nie dopuszczać do publicznego przedstawienia ich postulatów, zwłaszcza politycznych. Nie budzi otuchy fakt, że nawet w tak dramatycznej chwili nie ujawniono wysokości naszego długu zagranicznego, a zwłaszcza - nie widać, by chciano rozliczyć się ze sobą, w jaki sposób te zostały wykorzystane. Nie rozkładuje atmosfery tłumacząc informacje o strajkach, ukrywanie wysokości już przyznanych podwyżek, wygrywanie jednych grup robotniczych przeciwko innym. Nie budzi zaufania styl i poziom akcji propagandowej, jaką władze odpowiedziały na wydarzenia. Uznanie politycznego charakteru kryzysu jest warunkiem wyjścia z niego. Ujawnienie rachunków państwa i podjęcie otwartej, opartej na prawdziwych liczbach debaty nad stanem i przyszłością gospodarki kraju, mogłoby obniżyć emocjonalne napięcie obecnej konfrontacji, stworzyć bazę do racjonalnych i akceptowanych społecznie rozwiązań.

Nie wiemy jak zakończy się obecna kryzysowa kulminacja. Wierzymy, że dobra wola obu stron doprowadzi do jakiegoś modus vivendi, że nie dojdzie do rzeczy nieodwracalnych; że napięcie opadnie. Pewne jest jedno: że jeśli to niebezpieczne doświadczenie społeczne ma nie pójść na marne, to nie wolno ograniczyć się do jakichś doraźnych paliatywów.

Problemy, wobec których stoimy, są ogromnie trudne, wymagają inteligencji, odwagi, cierpliwości, czasu,

umiejętności zbiorowego działania. Rozwiązanie ich jest jednak możliwe. Społeczeństwo wie, że - mimo wszystko - ma coś do stracenia i nie wykazuje skłonności do posunięć nieprzemysłanych, nie oczekuje cudów, jest gotowe do rozsądnych kompromisów. Kraj ma ogromne rezerwy materialne. Trzeba je uruchomić. Jeśli ma do tego dojść, władze muszą rzucić dużo balastu doktrynalnego. Z faktu, że jedynym argumentem na rzecz obecnego systemu są okoliczności geopolityczne trzeba wyciągnąć konsekwencje, to znaczy - ograniczyć do niezbędnego minimum ciężar oraz koszty społeczne, gospodarcze i polityczne ideologicznej narośli, którą musimy legitymować się na zewnątrz.

Tylko w ten sposób można wypełnić próżnię polityczną, w której zamknęło się kierownictwo partii - na swoją i naszą zgubę.

28 sierpnia 1980 roku

DOBRE STRONY
ZŁEJ WOLI

Ilekcroć zdarza się ozytać wypowiedzi radzieckich dysydentów o polityce dzisiejszej, z miejsca uderza, że nic nie boli ich bardziej, nie dotkliwiej nie rani ich - uczuć niż sprawa polityki odprężenia. A więc ustalonych w ubiegłej dekadzie stosunków Wschód-Zachód i dziś możliwego ich kształtu. O polityce d é t e n t s nie wspomina się inaczej jak tylko z najwyższym sarkazmem i jeśliby na podetawie tych wypowiedzi przyszło ustalić sobie pogląd, co jest największym złem dla dzisiejszego radzieckiego opozycjonisty, rychło by się okazało, że jedynie d é t e n t e jest w stanie konkurować w tej mierze ze znienawidzonym systemem, komunistyczną władzą. Ocenie polityki d é t e n t e i jej możliwości towarzyszy to samo rozgoryczenie, ta sama odraza, podobna bezsilna pogarda, ponure przeczucia. To tak przecieź nieoczekiwane zrównanie uczuć i ocen szokuje, a jednak nie ma w tym nic dziwnego. Oczywiście, z perspektywy radzieckiego dysydenta.

Politykę d é t e n t e rozbiły rządy; społeczeństwa Wschodu, zwłaszcza radzieckie, nie miały w niej żad-

nego udziału. Oto przyczyna pierwsza sceptycyzmu środowisk demokratycznych. Polityce d é t e n t e towarzyszyły od samego początku otwarcie antyliberalne posunięcia władzy. Przez całe lata siedemdziesiąte, bez różnicy, czy d é t e n t e właśnie pączkowała, zakwitała w najlepsze, czy też stała pod znakiem zapytania, w Rosji prowadzono konsekwentną politykę represji, uszczuplano swobody demokratyczne i dążono do zniszczenia środowisk opozycyjnych. Stało się to normą zwłaszcza od czasu konferencji helsińskiej. W wyniku tej polityki nadwątlono poważnie siły radzieckich dysydentów, przetrzebiono ich liczbę, pozbawiono autorytetów moralnych i intelektualnych, naruszone zręby politycznej samoorganizacji. W pamięci społecznej przewrót chruszczowski zapisał się większym przypływem nadziei na "odprężenie" w dziedzinie stosunków wewnętrznych, niż polityka lat siedemdziesiątych okrzyczana tym tak zwodliwym, jak się okazało /zwłaszcza dla Rosjan/, mianem. Zbliżenie z Zachodem mało, wręcz nie zgoda, ma wspólnego z kursem na wewnętrzną demokratyzację - oto przyczyna druga i najpoważniejsza niechętnego stosunku opozycjonistów radzieckich do polityki d é t e n t e.

Przyczyna kolejna jest taka, że d é t e n t e nie dość, że okazuje się chybionym narzędziem demokratyzacji Rosji, to na dodatek przekształca się w pokaz politycznego samobójstwa Zachodu. Oto w okresie kwitnącej d é t e n t e Rosja wzbogaciła się o nowe terytoria, rozszerzyła swoje wpływy polityczne, osiągnęła dominujący potencjał militarny i jeśli tak niećnie i cynicznie sięgnęła po Afganietan, to po to - sugerują Rosjanie - by znów ludzi Zachód nadzieją odprężenia, tym razem jednak za cenę być może znacznie podwyższoną, cenę nowej Jałty, przyznania zatem Rosji władztwa na tych połączach globu, które teraz właśnie okrąża, penetruje, zwolna przechwytuje.

D é t e n t e zatem, zdaniem radzieckiego opozycjonisty, okazała się niewykorzystaną, wręcz zgubną, tak dla społeczeństwa radzieckiego i sprawy wolności, jak dla interesów zachodnich demokracji, a także politycznej siły Zachodu. Skorzystała na niej wyłącznie

władza radziecka. Radzieckim dysydentem i ich emigracyjnym porte-parolés, porażczym wiedzą i doświadczeniami, których świat nie chce przyjąć do wiadomości, przypada w tej sytuacji rola bezsilnych proroków. Wieszcza więc, pouczają i upominają, ostrzegają przed złymi skutkami d é t e n t e i obłudą Rosji, krytykują Zachód, wykazują jego naiwność lub piętnują za hipokryzję i faryzeizm. Gdy zaś ten Kassandry traci siłę przekonywania, sięgają po sarkazm, szyderstwo, ironię. Cóż jednak postulują, czego oczekują?

Świat, odmalowany przez Rosjan to świat z apokaliptycznych przeoczeń, dantejskiego piekła. Jest pozbawiony widoków na lepszą przyszłość, nie ma w nim możliwości zmiany ani nawet wiary w taką zmianę. Jego losy rozgrywają się wyłącznie w kategoriach tragedii, eschatologicznych wizji, a ten przeraźliwy obraz urozmaicają jedynie groteskowe figurki zachodnich polityków i również groteskowe, niemal wyjęte z przygód Guliwera, tajemnicze kraje Wschodu i Zachodu, rządzone przez stwory z burlesk i niesamowite, a przecież jakoś tragikomiczne, mechanizmy. Obrazy te, rozpięte między dramatem a groteską nie pozostawiają nawet miejsca na racjonalne analizy polityczne. Rosjan więc na równi zdumiewa i przyprawia o odragę fakt, że kapitalistyczny w końcu /co zdają się przecież wiedzieć nie od dziś/ Zachód może ulec, zwłaszcza w dobie recesji, pokusie transakcji ze Wschodem, co stwierdzenie, że d é t e n t e, choć daleko tej polityce do ucieleśnienia Królestwa Bożego na ziemi, odmienia jednak mimo wszystko los społeczeństw Wschodu. Mało tego, Rosjan zdaje się zupełnie zbijać z tropu i przepaść gniewem, gdy ktoś /czyli Zachód/ nieodwołalnie ich zdaniem skazany na zagładę, lekce sobie waży to niebezpieczeństwo, nieźle prosperuje i pragnie odwlekać termin kataklizmu. A jeśli mu zapobiega, to tylko połowicznie, spędzając normalnie, a nawet przyjemnie, przedostatnie chwile.

Dlaczego jednak Rosjanie mieliby nuansować swój stosunek do Zachodu i jego polityki? Skąd oczekiwanie, że winni okazywać i większą wnikliwość, i lepsze zrozumu-

mienie tej materii? Przecież ich stanowisko, jedyne /pomiędzy wyjątki/ na jakie się zdobyli sprowadza się tyleż do pieczołowicie kultywowanej niewiedzy i nieznamomości rzeczy, co do konsekwentnego i upartego demonstrowania wobec Zachodu i polityki d é t e n t e jak najgorszych uczuć i równie złej woli.

Jeśli więc pada pytanie o stanowisko dysydentów rosyjskich wobec Zachodu, a zwłaszcza polityki d é t e n t e, przyjdzie odpowiedzieć, że w końcu nie wie się nawet, czy Sołżenicyn i inni przebywający na emigracji, porte-paroles opozycyjnej Rosji naprawdę pragną zerwania polityki odłączenia, czy szczerze nawożują świat do całkowitej izolacji Rosji i czy wierzą, że jest to rozwiązanie lepsze od polityki lat siedemdziesiątych przy wszystkich jej złych skutkach i niedoskonałościach. W gruncie rzeczy nie wie się też wcale, ozym chcieliby zastąpić tę politykę i czy w ogóle mają jakąkolwiek realną wizję światowej polityki na dziś, wizję uwzględniającą, obok oczekiwań społeczeństw Wschodu, także złożone interesy Zachodu i dążenia Rosji.

Ale przecież wcale o to nie chodzi. Porte-paroles desydenckiej Rosji, których głos tak donośnie rozległ się w świecie w latach siedemdziesiątych, znajdowali się w sytuacji szczególnie utrudnionej. Może właśnie dlatego sprawiali wrażenie, że nie interesuje ich polityka lecz tylko moralność. Byli przecież pozbawieni znajomości obowiązujących na Zachodzie reguł gry politycznej, na dodatek skazani na język i tradycję zupełnie nieprzekładalne na kategorie dzisiejszej polityki światowej: obracali się w świecie proroczych wizji i przeczuć, cechowała ich oporność wobec racjonalistycznego ducha i pragmatyzmu Zachodu. Mimo to zdążyli opracować zręczną i niekiedy zaskakującą skuteczną formułę własnej polityki. Być może jedynej, jaka jest im obecnie dostępna.

Ta polityka specyficznie rosyjska, polegająca na upartym okazywaniu Zachodowi li tylko złej woli, odniosła w latach siedemdziesiątych nie łaża sukcesy. Dzięki tej polityce Zachód nie dowiedział się co prawdą dla-

czego jest aż tak zły i co zwłaszcza powinien robić, żeby się poprawić. W jaki więc sposób mianowicie Zachód ma zapobiegać jakoby bliskiej katastrofie, bolszewizacji świata, jak tedy ma mądrzej poprowadzić swoją jakoby głupią obecnie politykę. Dowiedział się natomiast paru innych rzeczy, które jemu i światu wyszły bezsprzecznie na dobre.

Oto pod wpływem rewelacji Sokłeniyna i dysydentów rosyjskich sukcesywnie przesiedlanych na Zachód dokonał się zwrot w zachodniej opinii publicznej. Rosja, jeszcze w latach sześćdziesiątych ojczyzna i nadzieja międzynarodowego proletariatu, przekształciła się w ojczyznę żagłów. ZSRR przestał być krajem uosabiającym wolności i przywileje klas pracujących, stał się państwem brutalnego despotyzmu. Wygasła fascynacja zachodnich intelektualistów ustrojem komunistycznym; okazało się, że jest to ^{reżim} reakcyjny i totalitarny, Rosja zaś to po prostu nieludzka ziemia.

Prawda, że ten zwrot nastrojów i opinii Zachodu dokonał się na fali znacznie głębszej konwersji duchowej i umysłowej, wraz z opadnięciem lewicowych sympatii. Jednak rola, jaką odegrali w tym przewrocie Rosjanie, była ważna. Może nawet podstawowa. To bodaj oni pierwsi zaczęli wprowadzać geografie żagłów i zwykłe ludzkie uczucia, odruchy zdeptanej godności do języka polityki, która dotychczas obracała się w obrębie "mocarstw", "klas" i "sojuszów" pomiędzy "prawicą", "lewicą" i "reakcją". Duchowy maksymalizm Rosjan współgrał z wstrząsem, jaki przeżyły społeczeństwa Zachodu, zwłaszcza amerykańskie, w latach siedemdziesiątych. Ich moralny absolutyzm stworzył aureę nieodzowną dla podjęcia, i to w tak wielkiej skali, kampanii o prawa człowieka i obywatela.

Rosjanie tedy, właśnie dlatego, że tak uparcie trwają przy własnych obsesjach, że niedbali o problemy świata wolaż na nowo rozpamiętują swój ból i swoje doświadczenia, wprowadzili do polityki światowej nowy wizerunek ZSRR i nową ocenę jego poczyniń, nowe poglądy na państwo komunistyczne, nowy typ wrażliwości moralnej. Są to zasługi poważne, szkoda tylko, że rzadko

wypuszczalne nadal
 aby pograżony w nie-
 ścisłości Rosji i trwały

się zauważa, iż - paradoksalnie - były one możliwe właś-
 nie dzięki d é t e n t e. Gdyby nie d é t e n t e
 i jej perypetie, Zachód przy swoich iluzjach, Spółżeni-
 cyna i Bukowskiego pochłonąłby najprawdopodobniej archi-
 pelag GUR-ag. Bez polityki d é t e n t e, zaciekawie-
 nia Rosji, wynurzenia rosyjskich dysydentów nie wywo-
 łałyby w świecie podobnego rezonansu.

Nie zżenienia to jednak faktu, że postawa radzieckich
 dysydentów w pewnej, a nawet dużej mierze, wpłynęła na
 wschodnią politykę Zachodu powodując jej stopniową mo-
 dyfikowanie w kierunku coraz silniejszego akcentowania
 zasad demokratycznych jako warunku polityki odprężenia.
 Radzieccy dysydenci mogą powitać decyzje bojkotu igrzysk
 olimpijskich, a także uzależnienie amerykańskich trans-
 akeji zbożowych od postawy Rosji, jako przejaw pomyslnego
 zwrotu w polityce Zachodu.

Stanowisko rosyjskich dysydentów polega bowiem na
 tym, że świetnie zdając sobie sprawę, jak poważnie Ro-
 sja jest zainteresowana w podtrzymaniu stanu politycz-
 nego odprężenia na zachodniej półkuli, pragną oni, by
 Zachód wykorzystał tę sposobność i zaczął wreszcie per-
 traktować z Rosją z pozycji siły, stosując gdzie się
 da szantaż, groźbę, "karę". Pogarda rosyjskich dysyden-
 tów dla zachodnich miar ducha imżyoia, ich harde i
 uparte odmawianie Zachodowi humanistycznych przewag
 czy to w filozofii, czy w życiu codziennym, czy też w
 polityce, ich niestrudzone wytykanie Zachodowi jego
 metafizycznej małości, przede wszystkim zaś politycznej
 naiwności, cała ta zatem konsekwentnie uprawiana poli-
 tyka z ł e j w o l i ma tedy spowodować, że d é-
 t e n t s, z pozoru tak niestrawna i odrażająca dla
 radzieckich opozycjonistów, zaczęnie uwzględniać również
 interesy społeczeństw Wschodu, a nie tylko rządów. Jeś-
 li zatem w polityce międzynarodowej zaczyna się upcw-
 szeczniań praktyka "karania" Rosji za jej agresywne bądź
 niedemokratyczne posunięcia, to niemała jest w tym za-
 sługa inwencji politycznej rosyjskich dysydentów, wlecz-
 nie skwaszonych; niezadowolonych, gniewnych. Tak oto
 "polityka złej woli" święcić zaczyna swe połowiczne,

lecz jakże ważne triumfy, tak oto d é t e n t e zaczy-
 na zwoľna odmieniać swe zasady, ~~prze~~ poszerzać formułę.
 Skuteczność i sens ukryty "polityki zkiej woli" na tym
 bowiem polegają, że gardząc i ironizując, besztając i
 chłoszcząc nie tyle doprowadza się do zaniechania d é -
 t e n t e, lecz do podwyższenia przez Zachód ceny od-
 prężenia. A także do tego, że stawkę w międzynarodowej
 polityce staje się odrobina wolności i swobód. Doprowdy,
 trudno o przykład bardziej przewrotnej taktyki!

Rosyjscy dysydenci, którzy mają takie zasługi w roz-
 kręceniu światowej koniunktury na prawa człowieka i ludz-
 kie swobody, okazują się więc ~~wcale~~ zręczni przy całym
 ich profetycznym usposobieniu maksymalistycznym, przy nie-
 kiedy wręcz nieznośnym malkontenctwie. Zręczni w umiejęt-
 nym dyskontowaniu koniunktury na d é t e n t e.

GRZECHY PRYWATNE I PAŃSTWOWE

Na morzach południowych boat people padają ofiarą
 sztormów, rekinów i piratów, którzy tak jak kiedyś gwałcą,
 rabują i mordują. Nieporównanie łagodniej traktowani są
 Żydzi opuszczający legalnie radziecką obojętną przez
 Brześć. Służby graniczne nie potrzebują ich szczególnie
 szykanować. Są to bowiem emigranci uzależnieni od tragarzy
 dworcowych, kierowców wózków z podnóscnikami, na których
 kontenery z emigranckim dobytkiem podjeżdżają do odprawy
 celnej, a potem już skontrolowane, zaplombowane do wago-
 nów. Łapówki są obowiązkowe, wysokość dyktują wózkarze,
 emigranci mogą bowiem wyjechać tylko określonym pociągami,
 na określoną miejscówkę sprzężoną z terminem upływu wizy,
 skowem znajdują się w sytuacji nieodwracalnej. Być może
 w stosunku do nich kryje się zawiść, że mimo wszystko
 mogą wyjechać, być może ten czy ów rabus myśli o nich jak
 o zdrajcach. Ale w sumie takie frustracyjne czy szowinistyczne
 motywacje wydają się nieistotne. Stosunek do emi-

grantów jest drapieżny i pogardliwy, ponieważ są bezbronni i nie mają gdzie, komu, jak się poskarżyć. Ich bilety zresztą wypisane są tylko do Warszawy, a tam już podobno czekają na nich nasi specjaliści od kupienia miejscówek do Wiednia, prowizorycznego noclegu, gotowi przyjąć wynagrodzenie we wszelkich walutach i towarach, bardziej uprzejmi i dyskretni niż ich radziecy koledzy, nieoficjalni, ale równie skuteczni w korzystaniu z trudnej sytuacji bliźniego swego.

Kompetentne władze cynicznie pozostawiają więc smigrałów na łasce piratów i łobuzów. Władza, państwo, ustrój, które tak dotkliwie czują się obrażone faktem emigracji, zostają pomszczone przez osobników przekonanych, że dbają tylko o własne interesy. Oczywiście ta nieświadomość nie usprawiedliwia bandytów, którym stworzono idealne warunki do uprawiania ich procederu: ten grzech jest w równej mierze państwowy co prywatny. Ale jeżeli słowo grzech ma tu jakiś sens, to wydaje się, że autorom nie-ludzkich zarządzeń czy ich anonimowym wykonawcom daleko do pewnego dziennikarza z telewizji brytyjskiej, który ujawnił publicznie na Olimpiadzie, że zapaśnicy afgańscy zamierzają szukać azylu w ambasadzie amerykańskiej, że jeden z nich prosił go o pomoc. W odpowiedzi afgańczycy zaprzeczyli wszystkiemu, ich radziecki coach chwalił sobie współpracę z nimi, a jeden z zawodników, widocznie ten najbardziej podejrzany, zaprzeczył jakoby w ogóle kiedykolwiek rozmawiał z Anglikiem. Sportowcy ratując się przed nieobliczalnymi represjami potwierdzili wyrok śmierci na siebie z rąk rodaków, być może i tak już wydany za udział w Olimpiadzie. Anglik spokojnie pojechał do domu. Dopuścił się podłości tym perfidniejszej, że według szuszonej zasady rzetelności informacyjnej chciał sobie po prostu wyświetlić prawdę. Dowiódł, a jest w tym również jakiś pocieszający akcent, że człowiek który bez żadnej ze swej strony zasługi urodził się wolny i bezpieczny, niekoniecznie góruje instynktem moralnym, wartością ludzką nad skrzywdzonymi i poniżonymi.

Nad grobem reformy

Na przełomie sierpnia i września około pół miliona polskich dziewięcioletków rozpoczyna trzeci już, kolejny rok nauki w "nowoczesnej, demokratycznej, powszechnej, dziesięcioletniej szkole średniej". Usypiająco-znieczulający szum propagandowy wokół reformy systemu oświatowego spełnił skutecznie swoje zadanie - mało kto zdaje sobie sprawę jak wygląda obecny system szkolny i jakie plany opracowywane są na niedaleką przyszłość. Nawet publicysta Res Publiki, analizujący niedawno w terminach szachowych naszą rzeczywistość, dał się uwieść pozorom i z całkowitą niezajomością rzeczy zanotował z zadowoleniem: "wyrwano sporo jadcwitych zębów groźnie zapowiadającej się reformie oświaty, a w każdym razie jej braki przestały być tabu na łamach prasy oficjalnej".

Nieliczne, oleszące publicystę głosy krytyczne w sprawach reformy formułowane są z taką autocenzurą, że mimo dobrych chęci autorów przyozyniają się raczej do zaciemnienia niż wyjaśnienia rzeczywistego obrazu i zamierzeń reformy. Jaskrawego przykładu dostarczyła zamieszczona w „Polityce” z 10 maja br. obszerna wypowiedź Białkowskiego i Trautmana - dwu cenionych profesorów fizyki. Tylko osoby dobrze znające stan faktyczny były w stanie rozszyfrować, co kryje się za eufemistycznie sformułowanymi zarzutami i nieśmiałymi propozycjami, za pomocą których autorzy chcieliby uratować fragmenty istniejącego systemu szkolnego przed toczącym się na oślep wyszczerbionym walcem reformy, rozpędzonym autorytetem władz państwowych i ustawy sejmowej.

Reakcja na artykuł Białkowskiego i Trautmana była typowa - podobnie jak poprzednie głosy w sprawie reformy, nie licząc krótkiej burzy towarzyszącej ustalaniu programów nauczania, tak i ten przeszedł niezauważony. Praktycznie nikt, kogo pytałem, nie czytał go; nieliczni, którzy czytali, nie dopatrzili się w nim niczego szczególnie interesującego. A przecież nawet ten artykuł - cały w woalach i półtonach - powinien, przy uważnej jego lekturze, zostać odczytany jako dramatyczny sygnał

alarmowy. Ot, choćby takie zdanie: "Sądźmy, że powinien zostać powołany zespół, który mógłby się zająć oceną realizacji reformy oświatowej oraz potrzebami systemu oświaty w Polsce w perspektywie kilku, a może kilkunastu lat." Boże! czyżbyśmy reformowali oświatę nie mając rozeznania jej potrzeb nawet w perspektywie kilku lat?

Trwa samobójcze desinteresement elity intelektualnej kraju w sprawie decydującej o przyszłym kształcie społeczeństwa polskiego w stopniu większym niż wszelkie kryzysy gospodarcze, wstrząsy wewnętrzne, a nawet rozstrzygnięcia geopolityczne. Tymczasem można mieć wątpliwości, czy bez energicznego przeciwdziałania za dwadzieścia, trzydzieści lat będzie jeszcze w ogóle istniało takie pojęcie jak elita intelektualna. Z nieubłaganą logiką szkoła polska dopasowuje się do panującego systemu - pozory zastępują rzeczywistość, wartości moralne i intelektualne spadają w ówie, zdolności, samodzielność, niezależność myślenia, odwaga ustępują przed przeciętnością, potulnością, oportunistycznym i chęcią urzędowania się w małej stabilizacji.^{x/}

Trudno oczekiwać, by w kraju, w którym następuje rozkład wszystkich instytucji społecznych i gospodarczych akurat system oświatowy miał ewoluować we właściwym kierunku. Niemniej, myśląc o część społeczeństwa powinna pamiętać o tym, że problemy oświaty są, nawet ze względów czysto ekonomicznych, znacznie ważniejsze niż działania tej czy innej gałęzi przemysłu czy rolnictwa, i że od postawienia na nogi oświaty trzeba zacząć, jeśli się chce kiedykolwiek z ufnością patrzeć w przyszłość.

Dziesięć lat temu wydawało się, że ta oczywista prawda dotarła nawet do najwyższego aparatu władzy. W styczniu 1971 roku powołany został Komitet Ekspertów dla Opracowania Raportu o Stanie Oświaty pod kierownictwem prof. Jana Szczepańskiego; nie sposób zaprzeczyć, że Komitet skupił grono ludzi o znacznym potencjale intelektualnym. Bardzo szybko okazało się jednak, że postulat uzdrowienia oświaty był jedynie manewrem obliczonym na pozyskanie życzliwości środowisk inteligentnych przez niepewną swoich pozycji władzę. Prace nad Raportem zostały ukończone w okresie, gdy sytuacja społeczno-polityczna kraju uległa dość zasadniczej zmianie. Pozorny boom gospodarczy pozwolił rozładować

x/ Patrz np. na poniższe wyniki badań ideałów i postaw życiowych uczniów szkół średnich "Młodzież w epoce przemian", PWN 1978, nakład 200 egzemplarzy.

napięcia społeczne, pozycja władzy uległa ugruntowaniu i reprezentujący w jakiejś mierze myśl niezależną Raport^{x/} stał się niepotrzebnym balastem krępującym woluntarystyczną działalność władzy na polu oświatowym. Jego twórcy zostali praktycznie odsunięci od prac nad reformą - żaden nie został powołany na jakiekolwiek stanowisko w resorcie oświaty, a sam Raport, głęboko ukryty, spełniał już tylko funkcję alibi dla posunięć nie mających wiele wspólnego z jego zaleceniami.

Jeszcze przed zakończeniem prac Komitetu Ekspertów, i zupełnie od nich niezależnie, rozpoczęto pośpieszną reorganizację szkolnictwa. Zaimprovizowane decyzje zapadały z dnia na dzień, bez rozeznania możliwości realizacji, bez zabezpieczenia kadrowego i materialnego, przyczyniają się do pogłębienia chaosu organizacyjnego i rozdrobnienia skąpych środków budżetowych resortu. Działania te zdezorientowana opinia publiczna traktowała jako element zapowiadanej reformy.

1. Wprowadzono w liceum klasy o profilach: matematyczno-fizycznym, biologiczno-chemicznym i humanistycznym, obok profilu podstawowego, dominującego w małych liceach prowincjonalnych. Sprofilowanie od pierwszej klasy liceum, do której przystępują uczniowie w wieku 15 lat, oraz uprzywilejowanie ilościowe profilu matematyczno-fizycznego sprawia, że wybór profilu przez uczniów jest w znacznej mierze dziełem przypadku. Nieprzemysłane, przekładowane programy nauczania opracowane metodą skreśleń i uzupełnień, wprowadzane bez uprzedniego przygotowania nauczycieli /o wprowadzeniu profilu biologiczno-chemicznego dowiedzieli się w dniu rozpoczęcia roku szkolnego/, a wreszcie nauczanie po dziś dzień z identycznych podręczników /przy 6 i 3 godzinach matematyki w tygodniu, 4 i 2 fizyki, 2 i 3 historii, odpowiednio w profilu mat.-fiz. i humanistycznym/ - wszystko to odbiera w dużym stopniu sens wprowadzonej innowacji.

2. Zreorganizowano szkolnictwo wiejskie przez utworzenie osławianych zbiorczych szkół gminnych - bez zapewnienia dowozu dzieci, odpowiedniej liczby izb lekcyjnych, mieszkań dla nauczycieli, świetlik itd. Szczęśliwie, tej powszechnie krytykowanej reorganizacji nie doprowadzono do końca, zadowolając się nadaniem niektórym szkołkom wiejskim nazwy filii szkoły zbiorczej.

x/ Syntetyczna wersja Raportu została opublikowana w niskonakładowym i mało znanym czasopiśmie "Życie Szkoły Wyższej" nr. 3-4, 1973 r.

3. Nadano pozorę działalności naukowej rozmaitym agendum resortu oświaty przez prostą operację zmiany nazw np. Departamentu na Instytut Programów Szkolnych, Ośrodków Doskonalenia Kadry Oświatowych na Instytuty Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych, oraz przez nadanie licznych tytułów doktorów, docentów i profesorów urzędnikom i działaczom oświatowym.

4. Zmuszono uniwersytety i wyższe szkoły pedagogiczne do prowadzenia skróconych - zaocznych i wieczorowych - studiów nauczycielskich zakończonych dyplomami magisterskimi. Kierowani na te studia bez egzaminu nauczyciele otrzymali symboliczne tylko ulgi w obowiązkach zawodowych, toteż nie byli w stanie sprostać trudom jednoczesnej pracy i nauki, mimo obniżenia poziomu wymagań kompromitującego szkoły wyższe. Zorganizowano więc w resorcie oświaty trzymiesięczne kursy dla nauczycieli, dające im uprawnienia równoważne dyplomowi ukończenia studiów wyższych.

Raz jeszcze uwidoczniła się fałszywa funkcja studiów wieczorowych i zaocznych obejmujących w naszym kraju ok. 40% studentów. Studia te, w rozmaitych formach, powinny spełniać doniosłą rolę w systemie "kształcenia ustawicznego" i doskonalenia zawodowego; tymczasem powielają schematy organizacyjne i programowe dziennych studiów wyższych, mimo że nie mogą, z oczywistych względów, spełnić merytorycznych funkcji tych ostatnich. Nie zapewniają rzeczywistego wyższego wykształcenia, służą poprawie statystyki i zdobywaniu formalnych podstaw do podwyżek i awansów.

5. Dokonano zmian systemu wynagradzania nauczycieli - zwiększono o ok. 10% obowiązkowe pensum godzin, zlikwidowano dodatki za wychowawstwo i prowadzenie kółek zainteresowań, relatywnie obniżono stawki za godziny nadliczbowe i wprowadzono skandaliczny przepis, że lekcje nie odbyte z przyczyn niezależnych od nauczyciela odliczane są od wypracowanej liczby godzin nadliczbowych. W 1970 roku średnia pensja w dziale Oświata i Wychowanie wynosiła ok. 86% średniej krajowej, w 1977 roku już tylko 80%.

6. Wykorzystano okres niżu demograficznego do zlikwidowania pewnej liczby szkół i klas - tylko w latach 1975-1978 zlikwidowano w szkołach podstawowych i liceach ogólnokształcących ponad 15 tys. klas i zwolniono 11 tys. nauczycieli. W rezultacie przeciętna liczba dzieci na 1 klasę wzrosła w tym okresie w

szkołach podstawowych z 22,5 do 23,5. Jednocześnie liczba izb lekcyjnych jest w dalszym ciągu mniejsza o około 20% od liczby klas, a i szkoły działające na trzy zmiany są na porządku dziennym. W szkołach licealnych liczba uczniów na 1 klasę zmalała z 33 na 32, za to wprowadzono przepis szeswalający na podział klas na grupy pracowniane tylko przy liczbie uczniów przekraczającej 32.

7. Wprowadzono automatyczne promocje, bez względu na wyniki nauczania w czterech pierwszych klasach szkoły podstawowej, promocje z ocenami niedostatecznymi bez egzaminów poprawkowych w klasach wyższych, obniżono rangę egzaminu maturalnego zmniejszając liczbę przedmiotów maturalnych do trzech, z jednoczesnym prowadzeniem egzaminów ustnych z języka polskiego i matematyki do roli egzaminów poprawkowych.

Wpływ tych zmian na autorytet szkoły i nauczycieli jest jednoznaczny, kształci się pokolenia pozbawione odporności psychicznej, ze zmniejszonym poczuciem odpowiedzialności i brakiem intelektualnego przygotowania do szybkiego opanowania i syntezy znaczących partii materiału. Widać to wyraźnie w czasie egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie - mimo hysterii egzaminacyjnej rodziców i dzieci, znaczna część kandydatów przystępuje do egzaminów zupełnie bez przygotowania, wielu rezygnuje natychmiast po wyciągnięciu kartki z pytaniami. Mimo to mówi się o zniesieniu egzaminów wstępnych.

8. Kolejna grupa działań demoralizujących to wprowadzenie pozornie obowiązkowych, a w rzeczywistości fikcyjnych prac społecznych, rozszerzanie dostępu na wyższe uczelnie z pominięciem egzaminu konkursowego przez wprowadzenie instytucji przymusów /pierwszych, drugich, trzecich/ oraz zwolnienie z egzaminów już nie laureatów, ale wszystkich finalistów licznych Olimpiad, z których niewiele zasługuje na miano Olimpiady. Wreszcie, dla kompletu, zastąpiono harcerstwo w szkołach średnich martwą instytucją pod nazwą Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej i rozpoczęto rekrutacje do partii uorników szkół średnich w okresie przedmaturalnym.

Na zakończenie tego przydługiego i nużącego zapewne część czytelników bilansu osiągnięć oświatowych ostatniej dekady, zgodnie z obyczajem przemówień sprawozdawczych należy podać kilka liczb.

- Łączna liczba uczniów szkół średnich, ogólnokształcących i zawodowych z zasadniczymi łącznie, przypadająca na tysiąc mieszkańców wyniosła w 1975 roku: w Polsce - 73,7, w Portugalii - 75,2, w Hiszpanii - 82,9, w Austrii - 97,5, w Finlandii - 110,1. /przyrost naturalny w tych krajach jest na ogół niższy niż w Polsce./
- Stosunek liczby uczniów szkół ogólnokształcących do liczby uczniów szkół zawodowych wynosił w Polsce w 1975 r. 1:3 i był z wyjątkiem NRD najniższy w Europie! W ogromnej większości krajów Europy zachodniej stosunek ten waha się w granicach od 2:1 do 5:1.
- Wydatki na szkolnictwo i wychowanie stanowiły w Polsce w 1977 1,2% dochodu narodowego. Żadnych danych porównawczych Rocznik Statystyczny nie zamieszcza. Źródła francuskie podają dla Francji w 1960 r. - 2,3%, a w 1973 r. - 3,5% dochodu narodowego.

Komentowanie tych liczb wydaje mi się zbyteczne.

Niezależnie od omówionych powyżej działań bieżących, powołując się na postulat Komitetu Ekspertów, ale ignorując konkretne zalecenia Raportu, w 1973 r. rozpoczęto przygotowania do szeroko zakrojonej, prestiżowej reformy systemu oświatowego - reformy, która miała się zapisać w przyszłej historii narodu przynajmniej na równi z powołaniem Komisji Edukacji Narodowej i postawieniem jej promotorów w randze Kołłątaja i Staszica.

O ile konieczność poprawy stanu oświaty i systemu kształcenia w naszym kraju może być ohyba uznana za pewnik i wyłączone z dalszych rozważań, o tyle sprawa wyboru kierunku i sposobu działania jest dalece mniej oczywista. Każda reforma, nawet najbardziej odpowiadająca zapotrzebowaniu społecznemu i dopasowana do możliwości, niesie w sobie szansę niepowodzenia i musi być poprzedzona rzetelnym bilansem zysków spodziewanych w razie sukcesu i strat grozących w razie fiaska. Istnieje przy tym kres górny potencjalnych strat, którego przekroczenie każe zawczasu zrezygnować z najbardziej nawet obiecujących propozycji. Z tego punktu widzenia, postulat głębokiej reformy obejmującej na raz cały system oświatowy, wysunięty w Raporcie o Stanie Oświaty, należy dziś uznać za zasadniczy błąd. W najlepiej rządzonej kraju nie ma ekspertów, którzy byliby w stanie poprawnie ocenić wszystkie okoliczności i przewidzieć skutki takiej reformy.

Przykład Francji, która musiała się wycofać ze zbyt radykalnej reformy oświatowej ministra Haby zanim jeszcze została ona w pełni wprowadzona w życie, powinien podziałać na wyobraźnię wszystkich zwolenników gwałtownych reform w kraju pozbawionym opozycji, rządzonym przez machinę biurokratyczną, wykluczającą wszelką elastyczność i pozbawioną mechanizmów autoregulacji. Komitet Ekspertów zaraził się wiarą w zbawczą moc dekretowanych zmian organizacyjnych i skłonnością do eksperymentów w skali całego społeczeństwa. Postulują reformę totalną, daleko wykraczającą poza możliwości ekonomiczne kraju i umiejętności organizacyjne systemu, dostarczył chwytliwego hasła propagandowego, a nie recepty skutecznego działania. Nie usprawiedliwia go to, że wcielana reforma ma niewiele wspólnego z jego zaleceniami, należało się z tym zawczasu liczyć.

Decyzja o podjęciu reformy i prace nad jej projektem wykonawczym nie zostały poprzedzone niezbędnymi pracami analitycznymi i koncepcyjnymi; załączek koncepcji zawarty w Raplocie nie został wykorzystany. Komitet Ekspertów opowiedział się za wariantem oznaczonym IIB, opartym na powszechnej 11-letniej szkole ogólnokształcącej, uprofilowanej w dwa ostatnie klasy, obejmującej młodzież od 6 lat, poprzedzonej obowiązkowym okresem przedszkolnym, a poprzedzającej bezpośrednio wyższe uczelnie. W projekcie dopuszczano także, że w dwa ostatnie lata, obok czterech profili zasadniczych, szkoły mogłyby organizować, w miarę możliwości i potrzeb, klasy z nauczaniem w językach obcych, z zajęciami artystycznymi, sportowymi oraz klasy przygotowania zawodowego. Wariant IIA oparty na szkole dziesięcioletniej uprofilowanej w dwa ostatnie klasy w połączeniu ze wstępnym rekiem selekcyjno-wyrównawczym na wyższych uczelniach, uznano za interesujący, lecz mało w niedalekiej przyszłości realny: wymagałby bowiem znacznego udoskonalenia metod pracy szkolnej i przedszkolnej.

Władze wybrały system szkolny, chociażby się powiedzieć, wzorowany na radzieckim - oparty na jednolitej nieprofilowanej szkole dziesięcioletniej. W początkowej wersji dziesięcioletka miała przygotowywać bezpośrednio do studiów wyższych, ale już w uchwale sejmowej z 13.10.1973 r. uwzględniono szczebel pośredni w postaci dwuletniej szkoły specjalizacji kierunkowej. Trudno było ten pomysł traktować serio, skoro jednocześnie zapewniano, że droga na studia będzie także prowadzić przez Olimpiady, pracę

zawodową, służbę wojskową i pomaturalną szkoły zawodowe. Użyłem nazwy "szkoła pomaturalna" z braku innego czytelnego terminu, po dziesięcioletce egzamin maturalny nie był przewidywany. Młodzież miała być selekcyjonowana do szkół dwuletnich na podstawie skierowań z dziesięcioletki, na zasadach obecnej selekcji do szkół średnich. Ilość miejsc miała być tylko nieznacznie większa od liczby miejsc na pierwszym roku wyższych studiów, a to o 50%, a to o 20%. Tym samym, na zasadniczej drodze na wyższe studia selekcja odbywałaby się w istocie u progu wąskiej wyspecjalizowanej szkoły dwuletniej, na podstawie decyzji poprzedzającego szczebla szkolnego. Fatalne skutki takiej selekcji obserwowane dziś w szkołach średnich przeniosłyby się więc wprost na wyższe studia.

Byłbym w zasadniczym błędzie, gdyby ktoś zażądał podania źródeł informacji na temat szkoły dwuletniej. Większość ich pochodzi z przekazów ustnych, często pośrednich. Charakteryzuje to w pełni dostęp do informacji środowiska, którego zadaniem było opracowanie lub opiniowanie programów przedmiotowych dziesięcioletki.

O sposobach planowania reformy i opracowania jej szczegółów nie warto zbyt wiele mówić. Brak fachowości, niedostatek informacji, nierealne terminy, kampanijność działań, arbitralność i zmienność decyzji, brak podziału kompetencji, tłumienie inicjatywy itd. są zbyt dobrze znanymi elementami pejzażu naszego życia społecznego, by zanudzać nimi czytelnika. Ograniczę się zatem do krótkiej relacji z przebiegu prac nad programami nauczania.

Od pierwszej chwili ambicją funkcjonariuszy Ministerstwa Oświaty było wykonanie całości prac bez odwoływania się do pomocy z zewnątrz, zmuszały do tego zresztą karkołomnie krótkie terminy narzucone przez władze zwierzchnie. Było oczywiste, że przywołani na pomoc naukowcy nie zechcą ich respektować, zaczęłyby się analizy i dyskusje, kwestionowanie założeń, a odpowiedzialność za terminowe wykonanie prac spadłaby i tak na kadry oświatowe.

Zgodnie z modną w współczesnej pedagogice tendencją nauczania zintegrowanego bez podziału na dyscypliny szczegółowe, znaczną część godzin lekcyjnych zarezerwowano na tzw. integraty. Nazw owych integratów już nie pamiętam; prędko je zarzucono, częściowo z powodu podnoszących się protestów, a w gruncie rze-

czy dlatego, że nikt nie miał pojęcia, czego w nich należy uczyć i kto to mógłby robić. Zmieniono więc siatkę godzin, przywrócono przedmioty tradycyjne i rozpoczęto dobór treści programowych. Był to jedyny element reformy, który obudził tywą reakcję społeczną; szczególnie tywo zareagowało środowisko naukowe, nawet w prasie ukazała się pewna liczba artykułów dyskusyjnych. Okazało się, że społeczeństwo podziela przekonanie projektodawców reformy, że o kształcie szkoły decyduje deklaracja intencji - siatka godzin i zbiór treści nauczania, a nie jakoś nauczycieli, sposób nauczania, metody wychowawcze i atmosfera szkoły.

Podczas targów w sprawie siatki godzin każda dziedzina nauki uważała się za pokrzywdzoną w stosunku do innych, tylko rusycystyka nie miała podstaw do zastrzeżeń - w kolejnych klasach, od V poczynając, przydzielono na język rosyjski 4,4,3,2,2,2, godzin tygodniowo. Zasadniczych zmian nikt nie wywalczył, całkowita liczba godzin była i tak nadmierna. Już w I klasie dziecko ma spędzać w szkole 4 godziny dziennie, i nie jest to czas przeznaczony na zabawy, w V klasie norma dzienna wynosi już ponad 5 godzin, od VIII wzrasta do 6.

Spora liczba reprezentantów szkół wyższych włączyła się ochotniczo do prac nad doбором treści programowych, starając się naprawić merytoryczne błędy Instytutu Programów Szkolnych. Była to jednak działalność chałupnicza, brakowało informacji, nie było czasu na głębsze analizy ani na ustalenie korelacji międzyprzedmiotowych. Dla każdego z przedmiotów, wstępna, jak się wówczas wydawało, wersja programu została ustalona niezależnie w czasie kilku zebrań w gronie kilku lub kilkunastu osób, w ostatnich miesiącach 1975 r. Dominowała na ogół koncepcja zachowania w dziesięcioleteciu wszystkich lub prawie wszystkich treści nauczania obecnego liceum ogólnokształcącego; przynajmniej dla części absolwentów dziesięcioletka miała wszak stanowić podstawę do studiów wyższych. Mówiło się: "wdrożenia wykażą, czy program jest przekładany, zresztą to jest tylko wersja wstępna, do dyskusji".

Powołując się na konieczność wydrukowania materiałów do ogólnopolskiej dyskusji, Ministerstwo szybko zablokowało prace programowe i skutecznie zneutralizowało zbyt niezależnych i wykazujących własną inicjatywę specjalistów, powołując w 1976 roku Zespoły Przedmiotowe, zdominowane przez przedstawicieli resortu oświaty. Po trzydniowych obradach w Kaliszu we wrześniu 1976 r. /zaproszenia opiewały na 5 dni, ale zabrakło pieniędzy/ Zespoły naciskane przez władze resortu, po wprowadzeniu niesmacznych

poprawek, zatwierdziły programy i nadały im moc ostateczną. Na tym wszelkie prace nad programem zostały zakończone, mimo deklaracji chęci ich kontynuowania ze strony wielu specjalistów; jednocześnie Zespoły Przedmiotowe przeszły w stan letargu.

Zgodnie z jednolitą opinią nauczycieli i naukowców, zatwierdzone programy dziesięcioletki są zupełnie niewykonalne z powodu ogromnego przekładowania. Programów nie można poprawiać przez prostą eliminację poszczególnych tematów, natomiast na gruntowną ich przebudowę nie ma dosyć czasu. Otc np. badania wdrożeniowe programu i pod ręczników dla klasy VI rozpoczynają się w bieżącym roku, ich wyniki będą znane za rok; na analizę wyników, opracowanie nowego programu tej klasy, napisanie nowego podręcznika, przetestowanie go i wydrukowanie pozostanie tylko dwa lata. Przesądza to z góry o jakości produktu końcowego.

Sprawa programów nauczania była tylko jednym, i jak się dzisiaj wydaje drugorzędnym dowodem improwizacji towarzyszącej reformie. W czasie gdy reforma nabierała rozpędu, gdy pierwsze klasy rozpoczęły już naukę w nowej szkole, okazało się, że podstawowy element reformy, stanowiący właściwie główne jej uzasadnienie - upowszechnienie szkolnictwa ogólnokształcącego - nie został uzgodniony z lobby przemysłowym, w którego gestii pozostaje w Polsce szkolnictwo zawodowe. Pod presją przemysłu zaczęto mówić o konieczności wprowadzenia w dziesięcioletce odrębnych ciągów zawodowych. Ciągi takie miałyby objąć do 60% młodzieży i to nie jak w obecnym systemie po 8 latach nauki, lecz po 6. Śledząc dotychczasowy kierunek rozwoju polskiego szkolnictwa i ewolucję postaw społecznych, można być tego oszukiwać. Dopóki nie przekona się organizatorów przemysłu i innych działów gospodarki, że ogólnie wykształcony człowiek po kilkumiesięcznym przygotowaniu zawodowym jest więcej wart od kształconego z dużym nakładem kosztów przez pięć lat technika obróbki skrawaniem i kształconego trzy lata kolnera bufetowego, dopóty każda próba ograniczenia szkolnictwa zawodowego będzie skutecznie torpedowana. Wreszcie tak długo jak pensja kierowcy w prowincjonalnej mleczarni będzie dwa razy wyższa od pensji nauczycielki w miejscowej szkole /Nidzica 1977/, tak długo młodzież będzie sabotowała szkołę ogólnokształcącą i wykorzystywała każdą okazję ucieczki do zawodu, a powszechne wykształcenie ogólnokształcące pozostanie papierową fikcją.

Wydaje się dziś oczywiste, że o rzeczywistym kształcie reformy oświatowej w najbliższym dziesięcioleciu przesądzą racje

ekonomiczne. Zgodnie z oszacowaniami zawartymi w Raporcie o Stanie Oświaty, wprowadzenie wspomnianego poprzednio wariantu IIB reformy kosztowałoby około 6,2% dochodu narodowego. Przebieg prac nad przygotowaniem reformy dowodził jasno, że władze zamierzały przeprowadzić reformę znacznie tańszym kosztem. Nie ulega jednak wątpliwości, że mimo wszelkich usiłowań nie da się jej przeprowadzić zupełnie za darmo. Już w roku ubiegłym dzieci rozpoczynające pierwszą klasę musiały się w większości zadowolić używanymi podręcznikami; przy wzmagającym się szóstym oszczędnościowym budżecie oświaty ulegnie dalszemu ograniczeniu, a w każdym razie nie powiększy się na tyle, by reforma mogła mieć charakter rzeczywisty, a nie pozorowany. Zmieni się zapewne nazwy szkół i numeracje klas - dwie pierwsze klasy liceum będą się nazywały dziesiątą i jedenastą, dwie ostatnie mogą przyjąć nazwę dwuletniego studium, część szkół zawodowych można przemianować na ogólnokształcące z profilem zawodowym, szkoły ośmioletnie będą zapewne filiami dziesięcioletnich itp. Pozostaną te same budynki, ci sami nauczyciele, a być może także te same programy i podręczniki. Minister Oświaty i jego zastępca odpowiedzialny za reformę odeszli już na inne odpowiedzialne stanowiska, można więc przyznać, że w przygotowaniach poczynione zostały pewne błędy i wykorzystano autorytet kilku profesorów, nieśmiało oponujących przeciwko reformie, do uzasadnienia reformy reformy.

Przedstawione tu hipotezy nie są wcale głośliwe. Stymulowane i mimowolne przecieki z Ministerstwa Oświaty dowodzą, że pomysły tego rodzaju są serio rozważane. W połowie czerwca, na mniej lub bardziej zawołane wezwanie Ministerstwa, niektóre towarzystwa naukowe przystąpiły do prac nad programami nauczania do szkół, wypisz wymaluj, takich jak sugerowałem powyżej. Zmiana była także publikacją w "Polityce" wspomnianego na wstępie artykułu Białkowskiego i Trautmana. Część tego artykułu stanowią poparcie dla jednych, a część polemikę z innymi rodzącymi się i ginącymi koncepcjami władz oświatowych, które w postaci plotki docierają do środowiska oświatowego i naukowego. Plotka, w tym także plotka sondażowa, jest nieodłączną cechą naszego systemu i towarzyszyła stale wszystkim pracom nad przygotowaniem reformy.

Nasuwa się wątpliwość, czy warto w tej sytuacji, nad otwartym grobem reformy, wdawać się w jej analizy i przywiązywać

do niej jakakolwiek wagę. Na krótką metę wydaje się ważniejsza ocena stanu bieżącego polskiego szkolnictwa, do której staraniem się podać pewne podstawy. Przy zdecydowanej postawie środowisk intelektualnych i ich instytucji - prasy niezależnej, towarzystw naukowych, związków twórczych i stowarzyszeń branżowych można, jak sądzę, doprowadzić do likwidacji niektórych absurdów naszego systemu kształcenia, przynajmniej tych, których usunięcie nie wymaga żadnych lub wymaga znikomych nakładów materialnych. Myślę tu o przywróceniu rangi stopniom szkolnym, promocjom z klasy do klasy, egzaminom maturalnym i egzaminom wstępnym na wyższe uczelnie. Przypuszczam także, że możliwe jest wywarcie pewnego nacisku w kierunku zmiany charakteru studiów wieczorowych i zaocznych przez bezkompromisową postawę egzaminatorów i komisji oceniających prace magisterackie, przez swoistego rodzaju strajk "working tu rule" - pracę z literalnym przestrzeganiem przepisów.

Nie jest też, jak sądzę, zbyt wygórowanym żądaniem w stosunku do naszych prominentów nauki, kultury i techniki, aby potraktowali jako pełnowartościowy element pracy twórczej napisanie dobrych podręczników do szkół podstawowych, średnich czy dziesięcioletnich. Jestem przekonany, że niezależnie od wartości merytorycznych takich podręczników, same nazwiska na okładkach mogłyby stać się symbolem rangi, jaką elita intelektualna kraju przypisuje kształceniu przyszłych pokoleń. Z pełnym przeświadczeniem twierdzę, że środowisko oświatowe nie jest w stanie, mimo licznych tytułów naukowych, wyprodukować wartościowych podręczników. Ulubione argumenty tego środowiska o konieczności uwzględnienia najnowszych zdobyczy psychologii dziecka i pedagogiki są, jak wspomniane integraty, czystym pustostanem, nie znajdującym poparcia w rzeczywistej jego działalności. Nie wolno oddać spraw oświaty w ręce działaczy oświatowych, nie wolno wierzyć w istnienie w naszym kraju specjalistów w tej dziedzinie - kompetencja pozostaje w odwrotnym stosunku do dyspozycyjności i stanowisk.

Wspomniane tu kierunki działania nie mogą zastąpić analizy intelektualnej i prac modelowych na temat pożądanego kształtu systemu oświatowego i perspektyw jego ewolucji. Nie mogą też zastąpić stałej troski o bieżące sprawy oświaty w Polsce. Z tego punktu widzenia analiza umierającej reformy szkolnictwa jest niezmiernie na czasie. Nie tylko dlatego, by zdać sobie

sprawę, jakich błędów należy uniknąć w przyszłości, ale także ze względów ściślejszj związanych z rzeczywistością, w której żyjemy. Doświadczenie uczy, że poronione reformy i zaniechane kampanie bardzo długo pozostają w mentalności urzędników i działaczy jako ideał, do którego należy dążyć. Wytyczają kierunki działań ukrytych, na długo potem, gdy zostały oficjalnie zarzucone; przyczyniają się do powstania rozmaitych grup nacisku w aparacie partyjnym i administracyjnym. Drastycznym przykładem speza terenu oświatowego może tu służyć, pozornie pogrzebana w latach pięćdziesiątych, idea kolektywizacji do dziś utrudniająca rozwój naszego rolnictwa.

W przypadku reformy oświatowej nie jest zresztą wcale pewno, jaki przybierze obrót. Od kilku już lat ponawiają się pogłoski o zaniechaniu reformy, poparte rzeczowymi argumentami i jakoby pochodzące ze źródeł dobrze poinformowanych, a reforma jest w dalszym ciągu, z powodów prestiżowych, wcielana w życie. Jakiekolwiek zresztą zapadną decyzje, elementy reformy, przynajmniej w postaci pozoracji, zaciągną nad szkołą polską w najbliższym dziesięcioleciu. Nie będziemy mieli z pewnością powszechnego wykształcenia ogólnokształcącego, możemy się jednak któregoś dnia czudzić z elitarnym studium ogólnokształcącym. Bardzo niedawno wpadł mi do rąk dokument ministerstwa na temat dwuletniego szczebla pośredniego między dziesięcioletką a studiami wyższymi. Twór ten, dawniej nazywany szkołą specjalizacji kierunkowej nosi obecnie mylącą nazwę studium ogólnokształcącego. O wszystko można go posądzać, ale nie o kształcenie ogólne - przewiduje się 7 różnych profili: humanistyczny, neofilologiczny, klasyczny, matematyczno-fizyczny, chemiczny, biologiczny i geograficzno-ekonomiczny. W trzech pierwszych profilach, ani śladu przedmiotów przyrodniczych i matematyki; w czterech ostatnich, w zakresie kultury ogólnej - 1 godzina tygodniowe "kultury języka" oraz 2 godziny "Współczesnego życia kulturalnego". W profilu mat.-fiz. nie ma chemii, w humanistycznym nie ma filozofii. Wszędzie na 25 godzin tygodniowo przypada 5 godzin "Przysposobienia zawodowego". Oto model wykształcenia naszych przyszłych intelektualistów! Proszę nie sądzić, że to sprawa przebrzmiała, nawet obecny Minister Oświaty nie mógłby tego zaręczyć, dyskusje trwają.

Sprawa studium dwuletniego to świadectwo naszej przyszłości, to zakończenie Raportu o Stanie Oświaty konsekwentnie dopisane przez system, w którym żyjemy, dopisane przez społeczeństwo,

które pozwoliło na degradację zawodu nauczyciela - wychowawcy przyszłych pokoleń, dopisane przez lekceważenie sprawy oświaty przez elitę intelektualną kraju.

EJ

Moja odpowiedź na drugą ankietę DiP-u

O d a u t o r a: Nie należałem do grona, które utworzyło konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość". W marcu 1979 r. zostałem jednak zaproszony przez Zespół Usługowy tego konwersatorium do udziału w znanej dziś szeroko ankiecie. Uważając inicjatywę DiP-u za pożyteczną i podjętą we właściwym momencie, pośpieszyłem z odpowiedzią na niektóre pytania. W ogłoszonym następnie Raporcie o stanie Rzeczypospolitej i drogach wiodących do jej naprawy odpowiedź moja /oznaczona numerem 33/ została wykorzystana, a obszerne jej fragmenty przytoczone dosłownie.

W grudniu 1979 r. zaproszono mnie do udziału w drugiej ankiecie nt. "Jak z tego wyjść?" Także i tym razem złożyłem obszerną wypowiedź, ale zaledwie nikłe jej ślady odnalazłem w opracowaniu wyników ankiety, jakie otrzymałem w maju 1980 r. Trudno doprawdy mieć pretensję o to, że w takim zbiorczym opracowaniu, sporządzonym na podstawie półtorej setki odpowiedzi, gubią się i rozmazują kontury indywidualnych stanowisk. Fakt ten skłania mnie jednak do opublikowania mojego tekstu, który w ciągu pół roku niewiele się zdążył zdezaktualizować.

Przypominam, że pytanie sformułowane przez Zespół Usługowy DiP brzmiało: "Jak z tego wyjść? Jakie kroki winny być podjęte w najbliższym czasie przez władze, instytucje lub środowiska społeczne, by osiągnąć stan porzucenia społecznego w Polsce, zapoczątkować partnerskie stosunki między społeczeństwem a władzą oraz zahamować proces rozkładu gospodarki i państwa?"

A oto i odpowiedź.

Jerzy Jedlicki
lipiec 1980

1.

Idea partnerskich stosunków między społeczeństwem a władzą jest teoretyczną nowością.

Wedle konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
"lud pracujący sprawuje władzę przez swych przedstawicieli"

/art. 2/, którym podporządkowany jest rząd /art. 5, 29 i 30/. Jest to stosunek zależności, a nie partnerstwa.

W rzeczywistości władzę najwyższą i arbitralną sprawuje kierownictwo partii i rządu, zaś podporządkowany mu jest cały naród. To także stosunek zależności, nie partnerstwa.

Stosunki partnerskie są więc pojęciem dziwnym, jakiego ani demokracja nie zna, ani dyktatura. Pomysł taki zakłada suwerenność podzieloną: podmiotową autonomię "społeczeństwa" i podmiotową autonomię "władzy". W Polsce nie jest suwerenne ani "społeczeństwo", ani "władza", choć z różnych powodów.

Końcowa część opracowanego przez zespół usługowy DiP "Raportu o stanie Rzeczypospolitej" oraz tekst zaproszenia do obecnej ankiety opierają się na przekonaniu, że nowy ład społeczny w Polsce, który ma ją uratować od katastrofy, musi zostać wspólnie wynegocjowany przez te dwa jakgdyby niezależne podmioty -- na zasadzie podobnej, jak się negocjuje układy między państwami. Rezultatem "porozumienia" miałoby być pół dyktatury i pół demokracji. Taki rezultat, jeśli by był realny i miał szansę trwałości, byłby oczywiście czymś znacznie lepszym od tego, co jest. Kłopot w tym, że "władza" do takich układów przystąpić nie chce, choćby nawet mogła, zaś "społeczeństwo" nie może, choćby nawet chciało.

Na rzecz tej osobliwej konstrukcji przemawia jednak bliski mi pogląd, że w razie groźnego konfliktu interesów należy wypróbować wszystkie możliwości rokowań. Oweś sumienne rozważenie idei negocjacji polegałoby na zbadaniu, jakie też warunki niezbędne są do tego, aby "władza" mogła chcieć i aby "społeczeństwo" mogło móc.

2

Słowa "władza" i "społeczeństwo" biorę w cudzysłowy, ponieważ żaden z tych przeciwstawionych sobie partnerów ewentualnych rokowań nie został jasno określony.

W kraju naszym panuje zasiadająca dyktatura, a nie zarząd okupacyjny. Aparat "władzy" nie jest więc od "społeczeństwa" odseparowany, lecz -- przeciwnie -- wielorako z nim zrośnięty. Mrowie funkcjonariuszy różnego auteramentu i szczebla na służbie reprezentuje "władzę", po służbie należy do "społeczeństwa". W ogóle zaś władza jest funkcją, nie podmiotem, choć zwyczaj językowy nazwą funkcji często obdarza sprawującą ją grupę społeczną.

W pytaniu DiP chodzi zapewne o elitę władzy, ale i to nie jest wyraźnie określony podmiot. Twierdzi się często, że w PRL /i w innych krajach "realnego socjalizmu"/ władzę sprawuje partia. Uważam to za frazes. Jak trafnie powiedziano w jednej z dyskusji nad "Raportem" gdzie jest jedna partia, tam nie ma żadnej. Paromilionowa organizacja pozbawiona jest większego znaczenia, prócz tego, że z niej wyselekcjonowuje się kadry funkcjonariuszy. Partyjne zjazdy mianowców mało się różnią od sejmu mianowców. Partia jest ważnym składnikiem komunistycznej tradycji, ale nasz system rządów mógłby się bez niej obejść nie zmieniając wcale swego charakteru.

Polską dzisiejszą, jak każdym normalnym państwem, rządzi rząd, dawno już odarty z wszelkiej rewolucyjnej charyzmy. A czy ten rząd nosi nazwę Biura Politycznego i Sekretariatu KC, czy Rady Ministrów, czy też składa się z tych dwóch zhierarchizowanych części - to jest sprawa jego wewnętrznej organizacji, nie zmieniająca istoty rzeczy. Podobnie jak niczego nie zmienia fakt, że szef zarządu wojewódzkiego nazywa się sekretarzem KW, a tytuł wojewody służy jego administratorowi.

Arbitralny, choć nie suwerenny rząd PRL, którego szefem jest obecnie Edward Gierek, mógłby tedy, gdyby chciał, być jednym z partnerów postulowanego przez DiP "porozumienia społecznego".

3

"Społeczeństwo" partnerem w żadnych układach być nie może, ponieważ nie jest zorganizowane i nie ma swego pełnomocnego przedstawicielstwa.

Praktycznie nie ma również organizacji reprezentujących dążenia partykularne: klasowe, zawodowe, lokalne lub ideologiczne. Wszystkie takie organizacje dawno już zostały albo rozwiązane, albo włączone w system rządowy. W tym drugim przypadku odtwarzają wiernie stanowisko rządu, a nie grup społecznych, które formalnie reprezentują.

Wyjątkiem jest kościół: jedyna niezależna organizacja, której żadna ekipa rządowa PRL ani nie odważyła się rozwiązać, ani nie zdołała skooptować. Toteż jedyne prawdziwe negocjacje w Polsce prowadzone bywają między rządem a episkopatem. Skoro zaś kościół jest tą jedyną ocaloną strukturą organizacyjną, to nie dziwnego, że staje się rzeczoznikiem spraw nie tylko wyznaniowych, lecz także takich, które w normalnym stanie społecznym należałyby do innych zreszcie.

Spółeczeństwo obywatelskie, zdolne do artykulacji swoich różnorodnych dążeń, zostało zniszczone z premedytacją. Dlatego też w momentach krytycznego zachwiania autorytetu rządu może on albo "dialogować" sam ze sobą i chwalić sam siebie, co też czyni do upojenia, albo jest zmuszony do konfrontacji z tłumem amorficznym i groźnym. Parokrotne dramatyczne doświadczenia takich konfrontacji nie skłoniły jednak rządu do zgody na odbudowę społecznych zrzeszeń i instytucji, które mogłyby podejmować negocjacje. Wydaje się, że z dwojga złego rząd mniej się boi niepohamowanych i destrukcyjnych wybuchów ludowego gniewu /które szybko można opanować bądź przez chwilowe ustępstwa, czołże obietnice i zmiany personalne, bądź przy pomocy terroru/, niż uformowania się i utrwalenia jakichkolwiek niezależnych ośrodków opiniotwórczych i przedstawicielstw społecznych. Partyjno-rządowy monopol inicjatywy okazuje się filarem całego systemu. I dopóki ten filar nie zostanie naruszony, dopóty nie może być mowy o negocjowanym wyjściu z obecnego kryzysu, bo nie ma kto i z kim pertraktować.

Jak z tego wynika, pierwszy krok jest dla rządu krokiem najtrudniejszym, wymagającym największej odwagi politycznej. Pierwszy krok, czyli zgoda na organizowanie się środowisk społeczno-zawodowych choćby tylko w lokalnej, a nie narodowej skali, jest od razu zmianą podstawy systemu, odwróceniem procesu niszczenia więzi społecznych, co było do tej pory głównym sukcesem dyktatury i gwarancją jej trwałości.

Nie należy oczekiwać, że rząd pójdzie na to z własnej i nieprzymuszonej woli, bo przez 35 lat rząd rozmawiał tylko z tymi, którzy reprezentowali jakąś siłę i tylko wtedy, gdy sam osuł się nie dość pewnie, a gdy się w siłę umacniał, złożone obietnice szły w zapomnienie, kontrakty nie były dotrzymywane. Od tej reguły ani jednego nie było wyjątku. Doświadczenie podpowiada więc, że rząd dopóty nie zrezygnuje z paternalistycznego monopolizmu na rzecz systemu porozumień, dopóki nie uzna, że inna polityka jest dlań bardziej kosztowna i bardziej ryzykowna. Jak dotąd, nie widać oznak takiej kalkulacji.

Sprawiedliwość każe przyznać, że poczynając od 22 lipca 1977 r. wobec samorzutnego organizowania się niektórych środowisk i wobec powstawania pierwszych niezależnych ośrodków opi-

niotwórczych rząd stosuje wprawdzie politykę naciskania i ograniczania, nie rzadko z użyciem przemocy i łamania obowiązujących praw, ale - mimo nacisków zewnętrznych i wewnętrznych - nie ucieka się jednak do brutalnego zmasowanego terronu fizycznego i psychologicznego. W porównaniu z dawniejszymi okresami i w porównaniu z państwami ościennymi jest to pewien postęp, który pozwala na umiarkowany optymizm. Od tego wszelako do akceptacji zasady dialogu i porozumień daleka droga.

4

Ruch samorządnie organizowania się środowisk społecznych, nazywany dziś niezbyt udanie opozycją, pierwszy w Polsce podjął wysiłek zmierzający do przywrócenia społeczeństwu utraconej podmiotowości i zwłaszcza zdolności do artykułowania żądań. Jakkolwiek kto ocenia zasięg i wpływy, intencje i skutki działań tegoż ruchu, stał się on w ciągu ostatnich trzech lat istotnym składnikiem sytuacji w kraju. Choć można zrozumieć powody, dla których "Raport" DiP składnik ten prawie pominał, nie wyszło to przecież na korzyść jego analizie. Od lekceważenia tego ruchu jak najdalej jest rząd, który do walki z nim wyszkolił i wyposażył nie mniejszy bodaj zastęp funkcjonariuszy, niż ruch liczy sobie aktywistów. I rząd jednak zdaje się świadom tego, że terror mógłby wprawdzie zepchnąć jawny dziś ruch do podziemia - ze wszystkimi tego konsekwencjami - ale już by go nie zdołał wykończyć.

W odpowiedzi na pytanie ankiety należy rozpatrywać, czy istnienie i rozwój opozycji jest czynnikiem ułatwiającym czy utrudniającym wyjście z impasu, powstrzymywanie "Procesu rozkładu gospodarki i państwa".

Trzeba przypomnieć, iż ruch ten zrodził się z dwóch doświadczeń: z akcji zbiorowego sprzeciwu wobec poprawek do konstytucji i z akcji obrony ludzi obciążonych odpowiedzialnością za rozruchy robotnicze po podwyżce cen. Obie te akcje były w pełni legitymistyczne. Kto bowiem pisze petycje do władz, ten daje dowód, że władze te uznaje. Kto zabiera głos w sprawie brzmienia artykułów ustawy najwyższej, ten uznaje tę ustawę. Kto broni praworządności, ten uznaje obowiązujące kodeksy. Była to więc postawa dialogu, ale rząd - jak zwykle - nie uznał partnerów, których sam nie wyznaczył. Wolał ich łączyć i prześladować.

Po tym doświadczeniu działalność zrzeszeń opozycyjnych przy-

jęła dwójaki charakter. Z jednej strony stały się one publicznym rzecznikiem spraw nękających miliony ludzi w Polsce, a demagogujących się pilnego rozwiązania w r a m a c h istniejącego systemu: spraw takich, jak np. skandaliczny niedobór leków, potrzeba przywrócenia patronatu nad więźniami, ukroczenie bezkarnej samowoli policji, obrona kultury narodowej przed niszczącym działaniem cenzorów, przedstawienie bez czołonek stanu gospodarczego kraju. Z drugiej strony te same ugrupowania, przez rząd nie uznane i tępiące, same z kolei zaczęły odmawiać uznania prawomocności panującego reżimu. Czując to, stwierdzały zresztą tylko to co oczywiste dla każdego myślącego Polaka: że PRL jest państwem o ograniczonej suwerenności, i że jej rząd nie sprawuje władzy z woli i wyboru narodu.

Oczywistość tego stwierdzenia i bezsporne prawo każdego obywatela państwa do badania szans politycznej i ustrojowej alternatywy nie zmienia faktu, że wysuwanie tej sprawy na miejsce naczelnego staje w pragmatycznej /choć nie aksjologicznej/ kolizji z dążeniem do konstruktywnych zmian doraźnych. Te bowiem nie są możliwe bez współdziałania rządu. Trudno zaś wyobrazić sobie, aby rząd zechciał w jakiegokolwiek sytuacji iść na kompromisy z środowiskami epiniotwórczymi, odmawiającymi mu prawomocności. I o d w r o t n i e.

Dyskusja tocząca się w prasie niezależnej świadczy, że opozycja zaczyna być świadoma tego dylematu. Część jej działaczy rozumie, że czym innym jest pryncypialna odmowa uznania historycznej i moralnej prawomocności dyktatury, czym innym zaś odmowa uznania konsekwencji faktu, że rząd sprawuje efektywną kontrolę nad państwem. Inni działacze opozycji zdają się jednak sądzić, że z pierwszego wynikać musi drugie, za czym wszelkie układy z rządem skłonni są - a jeszcze bardziej skłonni będą - uważać za hańbiącą kolaborację. A skoro tak, to nie pozostanie im nic innego jak pchać ruch w ślepa i zamkniętą ulicę demonstracji i wrogiej konfrontacji.

Jeżeli ewolucja ruchu opozycyjnego pójdzie w tym fatalnym kierunku i w tę stronę pociągnie za sobą młodzież, lwia część odpowiedzialności za następstwa spadnie na krótkowzroczną ekipę rządzącą. Radykalizacja ruchu będzie bowiem wynikiem uzasadnionego rozczarowania do skuteczności programu negocjowanych reform cząstkowych.

Pierwsze i najbardziej dotychczas wpływowe ugrupowanie opozycyjne, KSS "KOR", w ciągu trzech trudnych lat swego istnienia

dać dowody rzadkiego w polskich dziejach poczucia odpowiedzialności i realizmu. Utrwalenie się takiego ethosu solidarności ludzkiej i takiej metody obrony wartości demokratycznych byłoby dla nas wszystkich szansą wyjątkową i być może niepowtarzalną.

Nie przeceniam zasięgu wpływów opozycji w Polsce, choć jest on znacznie większy niż ktokolwiek mógł się spodziewać przed trzema laty. Nie w tym rzecz jednak. Istotne jest to, że został przełamany rządowy monopol opinii i inicjatywy publicznej, i że został wypraktykowany wzór samodzielnej organizacji społecznej, posiadającej własny program i styl działania. W społeczeństwie ubezwłasnowolnionym, niemy i zobojętniałym na sprawy Rzeczypospolitej jest to fakt o znaczeniu historycznym. W chwili krytycznej wzór taki powielić się może skokowo. I właśnie w tym tkwi szansa uruchomienia kraju przed katastrofą kolejnych rozruchów. Społeczeństwo, które umie się organizować, wybierać przedstawicieli, mówić i żądać jest lepsze niż tłum, który umie krzyczeć i podpalać. W dniach kompletnego upadku autorytetu rządu, ku czemu wszystkie zdaje się zmierzać, alternatywą społecznej organizacji będzie tylko społeczna dezorganizacja, ochlokracja, samosąd i krew.

5

Opozycja dała pierwszy przykład obywatelskiego myślenia i solidarnego działania w obronie podeptanych wartości, ale z tego nie wynika, że organizowanie się środowisk społecznych i ich zgłaszanie się musi przebiegać według KOR-owskiego wzoru. Dopóki jeszcze tli się nadzieja na wyjście z kryzysu poprzez system porozumień, dopóty nie jest pożądane spolaryzowanie się opinii i środowisk. Zamiast rozgraniczania, kto "za", a kto "przeciw", korzystniejsze jest zachowanie obecnego continuum kontaktów i postaw, pod warunkiem wszakże, iż będą to postawy publiczne, a nie tylko prywatne.

Rząd sam jednak spycha do opozycji każdą samodzielną inicjatywę, która przekracza wąsko określone granice dopuszczalnej krytyki. Znamienny jest przecież los konwersatorium "Doświadczenie i przyszłość", którego założyciele chcieli działać w ramach którejś z instytucji oficjalnych, co im po pierwszym spotkaniu uniemożliwiono. Inna rzecz, i także dla obecnego okresu znamienna, że wypchnięcie DiP-u poza margines koncepcyjowa-

ny dodało tylko wagi i rozgłosu jego opracowaniu.

Z podobnym przeciwdziałaniem spotkały się nliczne samodzielne inicjatywy studenckie podejmowane w ramach np. kół naukowych albo samorządu dcmów akademickich. Ostatnie stowarzyszenia naukowe czy pisarskie, które jeszcze - jak PEN-Club albo Polskie Towarzystwo Socjologiczne - potrafią korzystać ze swej statutowej niezależności i od czasu do czasu zabierają głos w sprawach publicznych, poddaje się wzmóżonej kurateli i ograniczeniom. Cóż mówić w tych warunkach o szansach edwojowania zetatygowanych rad zakładowych czy rad gminnych przez robotników i chłopów, mających w końcu mniejsze od intelektualistów umiejętności potrzebne do demokratycznej organizacji?

Rząd uparcie więo czyni wszystko, aby nie mieć żadnych partnerów do rozmowy, aby zagłuszyć każdą niezależną diagnozę sytuacji i każdy projekt zmian. Informacja i publicystyka prasowa są nadal najściślej reglamentowane: ostatnio depuszczono wprawdzie śmielszą krytykę energetyki i transportu, skore nasi mężowie stanu sami zdecydowali się ujawnić część rozpaczliwej prawdy, ale na innych "odcinkach" kontrolowane jest każde słowo.

Ta małostkowa, defensywna polityka nie może jednak usprawiedliwiać ludzi, którzy myślą i wiedzą, a przecie uchylają się przed zajęciem stanowiska nawet w sprawach znajdujących się w polu ich bezpośredniej odpowiedzialności i kompetencji. Oczar bardziej zawstydzający jest indyferentyzm większości polskich uczonych w obliczu doskonale im znanej sytuacji w polskiej nauce, oświacie, kulturze, wydawnictwach, gospodarce. Czcigodne Zgromadzenie Ogólne Polskiej Akademii Nauk nigdy jeszcze w swych dziejach nie wypowiedziało się samodzielnie, bez zlecenia, w żadnej z doniosłych spraw narodowego bytu. Senaty akademickie, rady wydziałów, rady naukowe instytutów badawczych zrezygnowały z tych nawet prerogatyw opiniodawczych, jakie im formalnie służą. Podobnej abdykacji dokonała większość stowarzyszeń twórczych, z całkowicie konformistycznym Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich na czele. Na tym tle dające się ostatnio zauważyć naktynnie nie się Polskiego Towarzystwa urasta do rangi ewenementu.

Intelektualiści mają w Polsce więcej legalnych możliwości zrzeszania się i wypowiedzania niż jakiegokolwiek inne - poza kościółkiem - środowisko społeczne. Niewielu jednak z tych możliwości chce korzystać. Przeważa postawa biernego wycofania, uprawiania

własnego ogródka, przeważnie z szyderczym komentarzem na temat tego, "co oni tam na górze wymyślają", ale często także z rezerwą wobec instytucji opozycyjnych nawet tak umiarkowanych jak TKN - a to w przekonaniu, że w ogóle wszelkie działania nie licencjonowane, drażniąc rząd, przynoszą więcej szkody niż pożytku. Jest to znakomite usprawiedliwienie wygodnego absenteeizmu elity umysłowej, której większa część zrzekła się współodpowiedzialności za stan państwa. Zmiana tej postawy wydaje się jednym z ważniejszych warunków odzyskania przez społeczeństwo polskie utraconej podmiotowości.

Rozwiniętym cywilizacyjnie krajem nie sposób dziś rządzić wbrew opinii świata nauki, kultury i techniki. Jego wpływ może być przede wszystkim większy niż jest dziełaj. Zadaniem intelektualistów i fachowców nie jest ułatwianie życia "władzy ludowej", lecz - przeciwnie - utrudnianie jej rządzenia w dotychczasowy arbitralny sposób i wywieranie nacisku na rzecz demokratyzacji systemu.

6

Rząd boi się dziś wszystkiego, ale najbardziej boi się utraty monopolu informacji i monopolu inicjatywy.

Czy można zatem spodziewać się, że strzegąc tego monopolu podejmiemy z własnej woli inicjatywę niezbędnych reform instytucjonalnych i ekonomicznych?

Nie nie upoważnia do takiej nadziei. Śladu takiego zamiaru nie można się dopatrzeć ani w "Wytycznych" na zjazd partyjny, ani w ostatnich publicznych wystąpieniach pierwszego sekretarza i premiera. Mimo iż w końcu 1979 roku w wystąpieniach tych ujawnia się coraz większą część prawdy o załamaniu się wszystkich bilansów i o rozprężeniu gospodarki nominalnie już tylko planowej, nie słyszymy ani jednej nowej myśli, nie widzimy żadnej koncepcji programowej. Recepty ograniczają się do tego, że trzeba "dokończyć starania", "wzmocnić wysiłek", "zwiększyć efektywność". W tej sytuacji trudno oczekiwać jakichkolwiek istotnych zmian od zjazdu partii. Ohyba że na gorsze, to jest w kierunku sanacyjno-totalistycznej demagogii - w wypadku zmiany ekipy rządzącej.^{x/}

Rząd bardziej się boi ryzyka reform systemowych niż ryzyka swego immobilizmu. Tylko organizowanie się środowisk zawodowych i ideowych, ich żądania i rewindykacje mogą sprawić, by rząd zaczął bać się skutków własnego strachu.

x/ Z dwóch ostatnich zdań sprawdziło się pierwsze.

Ten strach jest przesadny. Rząd ma wszak w swej gestii nie tylko chroniące go olbrzymie aparaty policji, cenzury i propagandy. Są także liczne i silne grupy społeczno-zawodowe, uprzywilejowane w istniejącym systemie i zainteresowane w jego utrzymaniu. Są też grupy żyjące niezgrzeź z rozwijających się w nim procesów gnilnych. Są i takie, którym jest zupełnie wszystko jedno, albo które nie myślą o tym, że mogłoby być inaczej. Społeczeństwo jest zróżnicowane i nikt nie potrafi orzec bez badań, jaki jest statystyczny rozkład opinii i postaw. W każdym razie "jedność moralno-polityczna narodu" jest - na szczęście dla rządu - pustym frazesem.

Niemniej ten strach nie jest całkiem pozbawiony podstaw. Mądrze wszak powiedział Tocqueville, "że najniebezpieczniejszą chwilą dla złego rządu bywa zwykle ta, w której zaczyna on wprowadzać reformy... Zło, które ludzie znosili cierpliwie jako nieuniknione, wydaje się nieznośne z chwilą, gdy w umysłach zaświta, że można się spod niego wyłamać."

Nasi władcy to wiedzą. Łatwiej by im przyszło dokonać zmian instytucjonalnych w sytuacji politycznie i gospodarczo pomyślniejszej, jaka była w pierwszej połowie dekady. Poniechano ich wtenczas. Dziś trzeba by się wziąć za nie przy znacznie większym natężeniu konfliktów, przy wyczerpanych rezerwach i zachwianym autorytecie rządu. W tym stanie rzeczy niewielka nawet liberalizacja dyktatury spowoduje oczywiście nasilenie żądań rewindykacyjnych: zwłaszcza żądań efektywnego zabezpieczenia praw obywatelskich i pracowniczych, demokratyzacji ustroju państwowego i niechybnie także żądań podwyżek płac kompensujących inflacyjny wzrost kosztów utrzymania. Nie wszystkie z tych postulatów rząd będzie chciał, nie wszystkie będzie mógł zaspokoić: zacznie je tedy na nowo dławić, dopiero ryzykując eksplozję społecznych frustracji.

Wszyscy powinniśmy jasno zdawać sobie sprawę z tego, że p i e r w s z a f a z a reform, nawet najściślej kontrolowanych i dozowanych, nie przyczyni się do stabilizacji społecznej: raczej do wzrostu napięć politycznych, a także do wzrostu inflacji i dalszej dezorganizacji rynku. Rząd więc, który zdecydowany jest utrzymać, póki się da, nienaruszalny status quo i swoją zachowawczą-paternalistyczną filozofię, postępuje ze swego punktu widzenia racjonalnie nie słuchając niczyich rad i nie godząc się na otwarcie żadnych wentyli krytyki. Problem polega

na tym, jak długo rząd z'e n i będą się godzili pokornie tolerować to status quo, czyli postępujący rozkład. Od tego bowiem głównie zależy trwałość owej racjonalności bezruchu.

Odejście od status quo ma sens tylko dla tych, którzy zdecydowani są więcej do niego nie wracać. To znaczy dla tych, którzy by mieli wolę i program może powolnego, lecz konsekwentnego przejścia od systemu paternalistycznej dyktatury do systemu koordynowanych przez rząd wielośrodkowych porzuczeń. W takim przypadku ryzyko związane z dopuszczeniem do jawnej artykulacji konfliktów byłoby warte podjęcia, gdyż wraz z tym wykształcałyby się autentyczne przedstawicielstwa środowiskowe umożliwiające kompromisowe negocjowanie kwestii spornych.

Oczywiście, statystyczny socjalizm nawet po dopuszczeniu zinstytucjonalizowanej partycypacji społecznej byłby ładem bardzo odległym od ideału demokratycznego i możliwe, że na dłuższą metę nie zadowoliliby niczyich aspiracji. Nie należy ludzi się, że byłby to ład stabilny, i że rewindykacje dalej idące łatwo by było powściągać. W każdym razie kierowanie takim systemem wymagałoby od rządu nieporównanie większej mądrości, elastyczności i popularności, niż ich potrzebuje w dzisiejszej grze dworskich koterii. Możliwe, iż funkcjonariuszom wychowanym w dyktaturze trudno by się było oprzeć pokusie reakcyjnych zamachów stanu. Z drugiej zaś strony od społeczeństwa system taki wymagałby zapomnianych już cnót kultury politycznej i organizacyjnej, aktywności i zarazem umiarkowania.

Niełatwo sobie wyobrazić łączne spełnienie tych wszystkich warunków, bez których przecież koncepcja partnerskich stosunków między rządem a organizacjami społecznymi pozostałaby pobocznym życzeniem. Koncepcja ta zakłada połączenie menopolizmu centralnej władzy politycznej i ekonomicznej, nie odpowiedzialnej przed wyborcami, z pluralizmem opinii publicznej i zrzeszeń środowiskowych. Taki ^{explicit} yozny model ustrojowy j e s t m e ą l i - w y, na co nie brak przykładów z historii. Co więcej, wymagałby on niewielkich tylko zmian w polskim prawie dziś formalnie obowiązującym. Spróbujcie potraktować nasze gwarancje konstytucyjne s e r i o, a nie jako atrapy, i wyobraźcie sobie ich rozwinięcie i obwarowanie przez ustawy wykonawcze, a otrzymacie w wyniku taki właśnie model.

W stosunku do tego co jest, byłby to postęp ograniczony, wyrażający się poważnym ograniczeniem arbitralności rządu oraz wykształ-

caniem się demokratycznych nawyków w społeczeństwie, poczynając od najniższych szczebli samorządności: od gminy, rady zakładowej, stowarzyszenia zawodowego, organizacji studenckiej itp. Zawsze jednak byłby to consensus o równowadze bardzo chwiejnej, narażony z jednej strony na powrotną grawitację ku dyktaturze, z drugiej na grawitację ku demokracji parlamentarnej i pełnej niepodległości państwowej, bez oglądania się na granice tego co osiągalne w istniejącej sytuacji geopolitycznej. Utrzymanie kompromisu przez czas dłuższy można sobie wyobrazić tylko w przypadku, gdyby rząd i jego sternicy cieszyli się zaufaniem ogromnej większości narodu. Aby zacząć o nie zabiegać, muszą oni najprzód uświadomić sobie, że go nie posiadają. Aby je utrzymać, muszą pamiętać, jak łatwo się je traci. Narazie umysły naszych rządowych polityków zdają się całkiem zamknięte na te dwie prawdy, które zresztą nie mają dla nich wielkiego znaczenia dopóty, dopóki ich kariery zależą tylko lub głównie od zaufania ościennej stolicy.

8

Nasza analiza prowadzi więc do wniosku, że sugerowane przez zespół usługowy DIP wyjście z kryzysu gospodarki i państwa drogą negocjowanych porozumień partnerskich - to szansa niezmiernie wąska. A jednak sądzę, że trzeba do niej powracać, badać ją wciąż na nowo i szukać najlepiej rokującego wariantu.

Kto bowiem utrzymuje, że system rządów zaprowadzony przez partie komunistyczne jest z natury swej niereformowalny, ten pozostawia tylko dwie opcje: albo przystosowanie się, albo rewolucja. Jest to alternatywa rozpaczliwa, której cba członcy są nie do przyjęcia.

Systemów niezmiennych cywilizacja współczesna nie zna. Pytanie polega na tym tylko, czy nasz nieudolny etatyzm, przydziały w zachman wystrzępionej ideologii, dojrzał już do zmian, czy jeszcze nie. Osobiście sądzę, że jeszcze nie. Na to, aby uruchomić kierunkowy proces ewolucji, opozycja jest narazie za słaba, ekipa rządząca zbyt ograniczona, a społeczeństwo zbyt bierne. Prawdopodobnie procesy gnilne będą musiały potrwać jeszcze czas jakiś, zanim na górze i na dole dojrzeje świadomość, że tak dłużej być nie może. Warunki będą wtedy jeszcze trudniejsze niż dzisiaj, postawy bardziej nieprzejednane. Kto więc stara się cwałować godzinę szczerości, postępuje jak bankrut, który nie płaci długów: jeszcze przez rok albo trzy ocali pozory bogactwa i ludzkiego szacunku, zanim zlicytują mu cały dorobek.

Lekcja Mieroszewskiego

Dzieło Juliusza Mieroszewskiego obejmuje kilkadziesiąt artykułów pomieszczonych na łamach "Kultury" i zebranych w większości w czterech książkach: "Ewolucjonizm", "Polskie Neurozy", "Modele i Praktyka", "Materiały do refleksji i zadumy". Trudno o właściwszy termin niż "dzisie" - wszystkie te teksty są w zasadzie jedną rozprawą na ten sam temat, tak jednolitą w formie i tak harmonijną w stylu, że często aż monotonna w czytaniu zwłaszcza większych porcji naraz, ale przecież fascynującą swym przedmiotem.

Czego dotyczy zatem dzieło Mieroszewskiego? Można znaleźć tu komentarze polityczne najważniejszych wydarzeń drukowane w politycznym miesięczniku "Kultura". Od komentarza politycznego jego prace różnią się jednak zasadniczo. Komentarz jest analizą teraźniejszych układów politycznych, a przede wszystkim ich zmian. Zwraca się w nim uwagę na wydarzenia grożące stabilnemu układowi, na stany zmienne i kryzysowe. Dostarcza doraźnych informacji o zmianach zachodzących w politycznej rzeczywistości świata. Trudno oddzielić komentarz od informacji. W komentarzu nie ma natomiast miejsca na formułowanie wizji przyszłości, czyli programu politycznego i rozważania koniecznych działań prowadzących do pożądanego celu, czyli taktyki. Komentarz musi objaśniać, może też, co objaśnia oceniać ze względu na przyjęte interesy polityczne, nie musi jednak wyjaśniać, ze względu na jakie wartości ocenia i analizuje.

Od pisarstwa Mieroszewskiego komentarz polityczny różni się nieobecnością jeszcze jednej warstwy rozważań. W komentarzu nie podejmuje się refleksji nad tym, czym jest polityka czy kultura polityczna. Komentarz polityczny jest dziennikarstwem, a nie pisarstwem politycznym.

Rozważania Mieroszewskiego rozwijają się na trzech poziomach. Na poziomie dziennikarskim - jest to komentarz polityczny, najmniej nas tu interesujący. Na poziomie myśli politycznej jest to formułowanie programu politycznego dla Polaków. Wreszcie na poziomie refleksji o polityce - filozofii polityki bez

mała. Nurt ten ukryty w pozostałych rozważaniach dotyczy tego, czym jest polityka, jaki jest jej przedmiot i cele, jakie oceny spełniać musi działania polityczne, jakimi racjami myślenia i kategoriami działania musi się kierować. Elementem filozofii polityki Mieroszewskiego jest również autorrefleksja nad tym, czym jest pisarstwo polityczne, jakie są jego zadania i jaką jest częścią polityki. Wreszcie czym jest myślenie polityczne i co to znaczy myśleć o polityce.

Czy więc jest polityka dla Mieroszewskiego, który był politycznym piórem "Kultury" i który współtworzył linię pisma. Zobaczymy to na przykładzie dwóch koncepcji politycznych: ewolucjonizmu i ULB /Ukraina - Litwa - Białoruś/. Obie są odpowiedzią na podstawowe pytanie: jaki program polityczny zagwarantuje najlepiej polskie interesy? Polskie interesy tzn. "pozycję państwa Polskiego w Europie i w świecie". Bo też przedmiotem polityki są interesy państwa. Polityka jest polityką państwową. "Przez właściwą politykę polską należy rozumieć politykę, która w danej sytuacji najlepiej służy polskim interesom". Podkreślmy to w "danej sytuacji", bo skoro tylko interesy państwa i narodu stanowią trwały i niezbędny element polityki, to działanie polityczne nie może znać dogmatów, nie może kierować się ani ideologią, ani sentymentami.

ULB to kryptonim obecności problemu Ukrainy, Litwy i Białorusi w polskiej polityce, czyli zagadnienie zawsze określające "Formę stosunków polsko-rosyjskich, skazując nas zawsze na imperializm albo na satelictwo". Taka polityczna alternatywa jest prostą funkcją rozumienia polityki jako krucjaty. Imperializm i satelictwo to dwa oblicza tej samej koncepcji politycznej, a raczej jej braku. Święta wojna wschodnia bowiem, zdaniem Mieroszewskiego, nie jest żadnym politycznym programem, co więcej przekreśla możliwość powstania takiego programu, bo i jak tu układać się z kimś, kogo zasadę istnienia się neguje. Taką antypolitycznością skażone były i są wszystkie te programy, które nie formułują interesów ULB oraz interesów Rosji. Polska rządną na wschodzie jest dla Rosji niebezpieczna. Jedyną możliwością wyjścia z sytuacji kraju satelickiego dla Polski jest uznanie prawa ULB do niepodległości i pogodzenie z utratą ziem wschodnich. Nawiasem mówiąc program suwerenności dla ULB jest nie tylko wyborem taktycznym, lecz głęboko ideowym. Mieroszewski przyznając wszystkim narodom prawo do niepodległości państwo-

wej. Takie tylko wytyczenie polskich interesów pozwoli Rosji przestać być wrogiem, a stać się partnerem politycznym. W polityce nie ma wrogów w ogóle, idzie o to, by sprowadzić stosunki wrogów do stosunków partnerstwa. Realizm polityczny polega na zjednywaniu sąsiadów, nie na zwalczaniu ich, bo polityka to układ sił nie znoszący próżni. Polityczne zjednywanie Rosji polegać ma nie tylko na tworzeniu programów łączących się z jej obecnością, lecz także na bliźniaku jej do Europy. Tyłko Rosja, która wchłonęła wartości kultury europejskiej może zostać politycznym partnerem. I nie należy twierdzić, że to niemożliwe, bo jest to po prostu konieczne.

Mieroszewski a wartości kultury europejskiej - to zagadnienie fundamentalne dla rozumienia jego koncepcji polityki. Ostateczną polityką są dla Mieroszewskiego wartości liberalizmu, przede wszystkim wolność jednostki. Liberalizm nie jest ideologią, ani programem partyjnym, jest zasadą, która konstytuuje każde społeczeństwo demokratyczne. Alternatywą dla liberalizmu jest totalizm. "Świat nie dzieli się na komunizm i demokrację, lecz na sferę rządzoną totalistycznie i sferę rządzoną nietotalistycznie". W podłożu polityki leży obrona, ochrona i zgodność z zasadami liberalizmu. Dlatego też ideą w niej nadrzędną musi być antytotalizm. Polityka bez zaplecza wartości liberalizmu, zdaniem Mieroszewskiego, nie ma sensu o tyle, o ile cena polityki wyznacza poszanowanie zasady wolności. Tak, jak w sferze organizacji państwowej alternatywą dla liberalizmu jest totalizm, tak w sferze kultury politycznej alternatywą dla polityki wywiedzionej z prawno-politycznej kultury liberalizmu jest polityka zideologizowana czyli totalistyczna.

Mieroszewski ostro rozgranicza dwie sfery życia publicznego: polityczną i społeczną. Ideologie takie jak: socjalizm, populizm, konserwatyzm, komunizm pojmuję jako społeczne ruchy rewindykacyjne i zastrzega im miejsce wyłącznie w sferze społecznej. Ich funkcją jest formułowanie zasad rzecząciwie pojmowanej sprawiedliwości społecznej i z tego punktu widzenia są dla polityki obojętne. Miara akceptowalności ruchów społecznych przez państwo jest szanowanie rozdziału tego co społeczne i tego co polityczne, oraz przestrzeganie w praktyce zasady wolności jednostki, na straży której stoi polityka państwowa. W momencie gdy ideologia społeczna wkracza w domenę polityki, to znacząco ideologizuje ją, wtedy, a jest to wariant znany z historii i z teraźniejszości, z praktyki politycznej i ideologicznych pro-

gramów, powstała ideologia państwowa usmierca, podporządkowując sobie, sferę społeczną, usmierca także politykę i kulturę polityczną.

Na tle takiego pojmowania związków między ideologiami, a polityką przez Mieroszewskiego, w piśmiennictwie polskim toczy się sporadycznie spór o to, czy Mieroszewski był socjalistą, czy nie był. Spór ten powstał w związku z programem ewlujonizmu, który warto streścić w kilku słowach. Program ten rozważał ezansę demokratyzacji Polski w okresie popaździernikowym, przy udziale środowisk rewizjonistycznych. Mieroszewski wychodził w analizie z danej sytuacji. Dany mi są:

- w obecnej sytuacji geopolitycznej i społecznej stawianie na rewolucję jest absurdalne, jedyną możliwością poprawy jest ciąg spokojnych przemian,
- społeczeństwo polskie nie zachowało cech społeczeństwa przedwojennego, toteż programy nawożujące do powrotu do przeszłości, do ustroju przedwojennego nie znajdują żadnego poparcia. Polska więc zostanie, zgodnie z przekonaniem społecznym, państwem socjalistycznym,
- jedynym publicznie obecnym środowiskiem w kraju jest środowisko rewizjonistów, ich koncepcje są wobec tego jedynymi obecnymi w kraju koncepcjami,
- bezpieczeństwo państwowe wymaga pewnych koncesji ustrojowych i wolnościowych na rzecz ZSRR.

Dysponując taką diagnozą Mieroszewski konkluduje, że jedynym realistycznym działaniem politycznym jest popieranie rewizjonizmu i tworzenie hybrydycznego ustroju, w którym rządząca partia komunistyczna będzie wieloświatopoglądowa. Licząc na realną poprawę sytuacji odrzuca maksymalizm moralistów pczbawionych, jak twierdzi, i zmysłu politycznego i wrażliwości społecznej.

Spór o socjalizm Mieroszewskiego wydaje się być z tej perspektywy podwójnym nieporozumieniem. Po pierwsze socjalizm jest dla niego ruchem społecznym i nie stanowi dlań jako dla pisarza politycznego przedmiotu zainteresowania. Po drugie, socjalizm w Polsce jest tylko opcją polityczną Mieroszewskiego, a nie światopoglądową. Nie wyznaje go, lecz docenia jego skuteczność, stopień zakorzenienia i w związku z tym moc politycznego oddziaływania. Wreszcie wszystko zalszy od zdefiniowania pojęć. Dla kogoś, dla kogo socjalizm kżóci się z postawą demokratyczną Mieroszewski socjalistą być nie może, zaś przy przekonaniu przeciwnym, o możliwości pogodzenia tych dwóch postaw, Mieroszewskiego za socjalistę

uznać można. Taka alternatywa dowodzi jednak drugorzędności sporu i jego nieistotności dla oceny prac Mieroszewskiego. Jest istotna dla oceny socjalizmu i demokratyzmu.

Polityka, według Mieroszewskiego, nie obejmuje rewindykacji społecznych, o ile nie są wyrażane w formie programów politycznych - jest ona dla niego polityką państwową, a jej celem nadrzędnym jest zabezpieczenie wolności. Również wolności państwa, lecz suwerenność państwa nigdy nie może być celem samym w sobie. Państwo musi być wolne i silne, i wewnątrz, i zewnątrz, po to, i tylko po to, aby umożliwić społeczeństwu konstytucyjną formę wyrażania swej woli. Ma być silne nie wobec obywateli i nie wobec życia społecznego, tylko dla zabezpieczenia ich wolności. Bowiem silne nie oznacza jedynie dobrze zorganizowane, lecz silne świadomością idei nadrzędnej - idei wolności jednostki, zasadami prawnokulturalnymi, wokół których potrafi skupić obywateli i tym samym zagwarantować stabilność ustroju. Brak takiego consensusu, który jest miarą kultury politycznej społeczeństwa prowadzi, przez dezintegrację i frustrację społeczną, do próżni politycznej, która wypełnić się może /i to jest istotne niebezpieczeństwo/ ruchami eksterminacyjnymi.

Polityka - zdaniem Mieroszewskiego - jest działaniem, które rozgrywa się w dwóch porządkach: doraźnym, i jest to taktyka polityczna interesująca się tym, tylko, co możliwe do osiągnięcia w danym układzie sił, i długofalowym, czyli maksymalistycznym programem politycznym interesującym się tylko tym co słuszne. Zresztą "słuszność jest rzeczą trudniejszą niż realizm. Jako pragmatyk sądzę, że ważniejszą jest rzeczą, by nasza polityka była słuszna niż realna, bo realistami w ostatecznym obrachunku są ci, którzy potrafią trwać i przetrwać". Miara realizmu politycznego jest więc słuszność celów programowych. Słuszność dwójaka: stosowania się do właściwości zajęcia jakim jest polityka, oraz wynikająca ze związku polityki z historią.

Każdy program polityczny jest rozdarty między historią, a teraźniejszością. Rachując teraźniejszość chce ozerpać z przeszłości, znajdować precedensy, zapominając o tym, że nie ma nigdy precedensów, zmieniają się bowiem punkty odniesienia, które wpływają na formułowanie programu. To są truizmy, zapewne, ale nie wszystkie polskie ośrodki polityczne choć o tym pamiętać. Lecz uwikłanie w historię jest jeszcze jedno. Myśl polityczna, sama z historii oczyszczona, pamiętać musi o historii w społeczeństwie,

zważać na pamięć społeczną, na doświadczenie historią, na wyobrażenie przeszłości i wrażliwość jej odczuwania. Zważać nie po to, by schlebiać, a po to, by być usłyszaną i by rozładować emocję, sentymenty, rozzumnie rewidować przeszłość, by lepiej spojrzeć na teraźniejszość.

Polityka jest związkiem taktyki i utopii programowej /utopii nie w sensie filozoficznym, lecz politycznym/. Działanie codzienne, doraźne, taktyka nie może obejść się bez myśli politycznej. I odwrotnie refleksja polityczna, musi być utwierdzana i realizowana działaniami doraźnymi. Codzienna praktyka polityczna nie może obejść się bez myśli politycznej. Świadomość tego faktu jest wyrazem kultury politycznej.

Taka koncepcja polityki wymaga odniesienia się do dwóch postaw w różnych wariantach stale obecnych w Polsce: postawy ugody i klasycznej postawy niepodległościowej.

Dla Mieroszewskiego żadna z tych postaw nie przedstawia programu politycznego, obie charakteryzują się brakiem refleksji politycznej. Postawa ugody orientuje się na status quo przyjmując je za element trwałe. Nie dopuszczając możliwości zmian, z koniunktury, jaką jest zawsze układ się, robi program. W swobodnym pragmatyzmie ugodowcy myślą taktykę z refleksją polityczną, spruwadżając swą postawę do programowego zaniechania działań i taktycznego podpierania rzeczywistości. O ile taka postawa może być usprawiedliwiona w Polsce, gdzie presja strachu jest znaczna o tyle jest dla Mieroszewskiego po prostu niemoralna na emigracji. Niemoralna, bo rezygnuje ze swego osła, przestaje być polityką niepodległościową, Dlatego w polemice z Adamem Bronką, uznając go za emigracyjnego ugodowca, za polityka, który i w praktyce i w teorii odstąpił od idei niepodległości Mieroszewski wypowiedział mu łamy "Kultury".

Tradycyjna postawa niepodległościowa przyjmuje wiarę podobną do postawy ugody. Wierzy w polityczną trwałość status quo, a zatem możliwość zmian widzi w odrzuceniu polityki i posługiwaniu się niepolitycznymi środkami. Z zasady antypolityczna, bliżej nieokreślony czyn niepodległościowy pasuje na program, a z eskalacji działań czyni taktykę. Naprawdę jej programem jest brak kalkulacji, a praktyką zaprzestanie racjonalnej analizy działań i rzeczywistości politycznej. Wychodząc z przesłanek maksymalizmu, neguje wartość taktyki dla swoich działań. Postawa niepodległościowa nie interesuje się rzeczywistością polityczną, co widać wyraźnie w różnego rodzaju koncepcjach Polski imperialnej i roz-

ciągniętej na wschodzie, lecz jedynie dziejowym legalizmem swych założeń. Nie podejmując myśli państwowej, prawnej, ustrojowej, rezygnuje z polityki, skupiając się zamiast na planowaniu przyszłości, na rewindykacjach historycznych.

Obie te postawy są nie tylko apolityczne, w tym sensie, że pomijają politykę, są również antypolityczne. Pierwsza traktuje politykę jako rejon zakazany, widzi w niej niebezpieczne awanturnictwo; druga w polityce widzi bądź politykierstwo czyli domenę personalnych rozgrywek, bądź też rodzaj szwidlu, grę nieczystych interesów, wysoce niesetycznych zabiegów koniunkturalnych. Razem negują patriotyczny sens polityki, społeczną wartość kultury politycznej.

W rzeczywistości działalność polityczna jest najlepszym przejawem patriotyzmu, twierdzi Mieroszewski. Pogląd przeciwny skłania do smutnej zadumy nad społeczeństwem, ubóstwem jego zmysłu politycznego, nieobecnością tradycji kultury politycznej. Dlatego właśnie pisarstwo polityczne jest tak bardzo Polakom potrzebne, tym bardziej im mniej go było w przeszłości. Pisarstwo takie będąc formą edukacji politycznej jest częścią polityki. Uprawiając refleksję nad polityką może kształtować jej styl. Przekazując kulturę polityczną może określać cele i zakres samej polityki. Mówiąc czym jest polityka, wskazuje jaki ma oblec kształt. Ale pisarstwo polityczne spełnia jeszcze jedną funkcję. Funkcję uobecniania podstawowych problemów. Instrumentem polityki są dla Mieroszewskiego czyny i słowa, a zwłaszcza słowa, to znaczy podnoszenie spraw ważnych, przywoływanie ich na forum publiczne i utwierdzanie ich obecności na arenie politycznej.

Dzień Mieroszewskiego to właściwie podręcznik myślenia politycznego Polaków, stąd też i pewna jego cecha - dydaktyzm. Modelowe przykłady analizy politycznej obciążone są spekulatywnością. Ponieważ objaśnianie polityki jest racjonalizacją jej przebiegu, mimo że ona sama nie zawsze jest racjonalna, oraz jest logicznym planowaniem przyszłości, mimo że przyszłość nie musi stosować się do logiki teraźniejszości, to częste analizy polityczne Mieroszewskiego przybierają postać scenariuszy powieści sensacyjnych, scenariuszy trzeba to przyznać atrakcyjnych. Co prawda zarzut ten tyczy nie tylko samego Mieroszewskiego, co raczej gatunku tego pisarstwa, gdyż alternatywą dla racjonalizacji działań politycznych jest wygłaszanie politycznych pro- roctw, jałowych poznawczo i antyedukacyjnych. Nie to jest zresz-

tą najistotniejsze, gdyż wartość jego dorobku polega nie na przewidywaniu tego, co będzie, lecz na ozynieniu z filozofii polityki wiedzy o rzeczywistości, a z polityki reguł orientacji w świecie. Odpowiedź na pytanie czy polityka może być nauką jest zarazem wysunięciem dylematu czy myśliciele są najlepszymi politykami. Mieroszewski wydaje się w obu wypadkach odpowiadać twierdząco, jednak nie bez zastrzeżeń. Trudno problem ten teraz rzstrzygnąć, wymaga on oddzielnej rozprawy, zauważmy tylko, że historia rzadko potwierdza wybór Mieroszewskiego, i że empiria polityki, działania na ogół nieskonwencjonalizowane nie muszą rządzić się prawami konwencji naukowej.

Niezależnie jednak od takich zarzutów, trudno przecenić wartość dorobku Mieroszewskiego jako współtwórcy linii politycznej "Kultury", nie tracącego nigdy intelektualnego i politycznego kontaktu z krajem, a przede wszystkim jako nauczyciela myślenia politycznego, teoretyka i praktyka kultury politycznej, chcącego zaściankowej polskiej myśli politycznej nadać kształt uniwersalistyczny. I jest to nauka dla nas wszystkich.

M B.

Metafizyczne zło na scenie dziejów

Spróbujmy zastanowić się nad kształtem myśli Mariana Zdziechowskiego w czasie, kiedy był on już pewien zbliżającego się nieuchronnie końca kultury, bez której istnienia nie wyobrażał sobie dalszego rozwoju ludzkości, ale kiedy jednocześnie przesłanujące go widmo przyszłości i nieustanne dowody samobójczych tendencji tej kultury kazały mu z tym większą stanowczością bronić najcenniejszych jej wartości. Oryginalność tej myśli - na tle wielu innych wersji krytyki totalitaryzmu komunistycznego - jest wynikiem zastosowania szczególnych kryteriów wartościujących. Perspektywa z jakiej Zdziechowski spogląda na zjawisko rewolucji, jest perspektywą eschatologiczną. W tym pryzmacie bolszewizm nie jest już tylko przykładem doktrynerskiego oraz nie liczącego się z naturą i godnością człowieka wprowadzenia błędnej doktryny ekonomicznej, lecz wkroczeniem na scenę historii ciemnych, zaświatowych potęg zła metafizycznego. Nieunikniony konflikt chrześcijaństwa i całego świata cywilizowanego z bolszewizmem zyskiwał w ten sposób wymiar wyższy od sporu przeciwstawnych systemów społecznych czy ideologii politycznych, a stawał się pojedynkiem transcendentalnych sił Dobra i Zła, którego wynikiem miało być bądź wypełnienie ostatecznych przeznaczeń człowieka, bądź jego bezprowny upadek.

x

U źródeł myśli Zdziechowskiego tkwił sprzeciw wobec filozofii afirmujących wyłączną obecność w świecie rozumnej myśli. Racjonalistyczne i hiper-optymistyczne systemy doprowadziły, jego zdaniem, zarówno do oświeceniowej utopii żyjącego w "stanie natury" "dobrego dzikusa", jak również do przesiąkniętej płaskim socjentyzmem materialistycznej cywilizacji XIX-wiecznej, stosującej ilościowe jedynie kryterium postępu. Szczególną niechęcią darzył Zdziechowski Hegla, dostrzegając w jego systemie niebezpieczeństwo uzasadnienia najbardziej nawet antyhumanistycznej rzeczywistości jako zgodnej z ucsabiającym rozum duchem dziejów. Ale nie tylko heglizm, lecz cała niemal europejska tradycja filozo-

ficzna zapoznała - zdaniem Zdziechowskiego - podstawowy problem rzeczywistości ludzkiej: problem zła. Dlatego nie może dziś ta filozofia dać sensownej odpowiedzi na zasadnicze pytania nękające człowieka. Uwikłana w racjonalistyczne konstrukcje, pochłonięta logistycznymi analizami własnego metajęzyka, dała się zepchnąć na margines świata kultury.

Przywrócić filozofii europejskiej jej fundamentalne powołanie: uzasadnienie kondycji ludzkiej w świecie przenikniętym złem, może - zdaniem Zdziechowskiego - tylko zwrot ku takiej myśli, która problem zła uczyniła podstawą wszelkiej filozoficznej refleksji. Racjonalizmowi i optymizmowi myśli europejskiej przeciwstawił Zdziechowski między innymi irracjonalizm i pesymizm Wed i Upaniszad. Był przekonany, że tylko świadome i konsekwentne przyjęcie postawy pesymistycznej może uczynić nasze życie sensownym.

Teza ta na pierwszy rzut oka paradoksalna, pesymizm bowiem nader często bywa utożsamiany z postawą bierną, "kwiatystyczną", z samobójczą duchowo rezygnacją. Pogląd taki świadczy jednak - przekonywał Zdziechowski - o niezrozumieniu właściwej istoty pesymizmu. Pesymizm - dowodził - jest, wbrew pozorom, aktywizmem, a co więcej tylko dzięki niemu aktywizm jest możliwy. Wprawdzie punktem wyjścia jest skonstatowanie wszechobecności zła, oznacza to jednak wyłączenie pozbycie się iluzji, co do otaczającej nas rzeczywistości. A właśnie uświadomienie sobie, że zło nas ze-wsząd otacza, że tkwi również w nas, daje mocny fundament i nieodpartą potrzebę podjęcia heroicznej walki o dobro. Niezbędne jest tylko jedno: założenie innej motywacji tej walki niż doraźny sukces. Motywacji zatem bezinteresownej i "czyszczącej" z poziomych, wymiernych materialnie dążeń.

Powołując się na angielskiego modernistę katolickiego Tyrela, pisał, że "walcząc ze złem nie pytamy, jaki będzie wynik tej walki, wierzymy natomiast, że tak czyniąc jesteśmy w zgodzie z Tym, który wszystko widzi" - a więc, dopowiedzmy sobie nasz wysiłek, lecz posługując się już inną miarą wartości, niż nasze ziemskie rachuby. Podobnie uzasadnia Zdziechowski wyższość irracjonalizmu nad racjonalizmem /aby nie było nieporozumień, należy zaznaczyć, że nie jest to irracjonalizm w sensie epistemologicznym; nie oznacza negacji przydatności intelektu w procesie poznawczym, a dotyczy jedynie sposobu widzenia ludzkiej rzeczywistości/.

Optyka racjonalistyczna zakłada naszą predestynację do dobra, a zatem możemy się czuć zwolnieni z obowiązku aktywności - skoro Opatrzność wszystko za nas rozstrzygnie i rozwiąże. Heroiczny wysiłek myśli i woli staje się możliwy dopiero wówczas, kiedy zrozumiemy, że w świecie, obok Łaski, działają również siły ciemne, złe.

Ośrodkiem świata w tej wizji staje się jednostka, wprawdzie do dobra powołana, ale i z o b o w i ą z a n a do czynnego o n a m a l c z e n i a. Zdziechowski wyraźnie należy do tego nurtu myśli chrześcijańskiej, który w świecie upatruje raczej domenę Księcia Ciemności. Dlatego koniec tego świata zwiastuje dlań nadzieję, pod warunkiem sprostania ludzkiemu powołaniu. Dopiero pojęcie transcendentnego wymiaru owej myśli pozwala dostrzec bliskość klimatu duchowego i moralnego z tragicznym, laickim heroizmem Conrada, z jego imperatywem wychodzenia naprzeciw losu, bez pytania o zwycięstwo, lecz "usque ad finem". Oczywiście chodzi tu tylko o ów klimat, bowiem bez tego transcendentnego wymiaru myśli Zdziechowskiego nie byłaby tym, czym w istocie była, to jest konsekwentnym uzasadnieniem wiary, chociaż zasadniczo odmiennym od typowej apologetyki. Właśnie przez pesymizm dojść można - mniemam Zdziechowski - do naprawdę pogłębionego i dynamicznego chrześcijaństwa, a za przykład podawać postacie Wagnera i Tolstoja.

Pesymizm w tym ujęciu oznacza, na gruncie rzeczywistości społecznej i na płaszczyźnie historiozoficznej, katastrofizm, a więc przekonanie o rychłej i nieuniknionej zagładzie cywilizacji europejskiej. Oczekiwał Zdziechowski zalania Europy przez nowe barbarzyństwo, objawiające się dziś w postaci rosyjskiego bolszewizmu. Nie był jedynym, który tak sądził, bo przecież niebezpieczeństwo było aż nadto widoczne. Ale na pewno należał do nielicznych - i był tego faktu świadom - których nie zadowolało wytłumaczenie nihilizmu komunistycznego jako zjawiska społecznego i jako krwawego przewrotu politycznego. Patrzył głębiej; był przekonany, że bolszewizmu nie można zinterpretować i zrozumieć do końca posługując się wyłącznie kategoriami socjologiczno-ekonomicznymi, a trzeba go widzieć w wymiarach pozahistorycznych i eschatologicznych. Pojawienie się tego przerażającego fenomenu, jakim była rewolucja rosyjska, było dlań widocznym znakiem bezpośredniej ingerencji w historię zaświatowych, metafizycznych potęg ciemności, dowodem istnienia i działania w

świecie z ł a m e t a f i z y o z n e g o. Bolszewizm to, dla autora "Widma przyszłości", nie jeszcze jeden radykalny ruch polityczny, ale spełnienie ewangelicznych i apokaliptycznych wizji: To Bóg Boży na ludzkość, która zaprzecza wolaż swemu wznioślemu powołaniu, pogrążając się coraz bardziej w technokratyczną utopię.

Czytając Zdziechowskiego nie sposób nie zauważyć jak daleko refleksja humanistyczna odeszła od żelaznych rygorów nauki "pozytywnej", programowo odzęgającej się od wszelkiej "metafizyki". Śmiało powraca on do źródeł myśli ohrześciójńskiej, do providen-cjalistycznej historiozofii św. Augustyna, do takiej wizji świata, w której porządek ludzki, choć kreowany przez odpowiedzialnego zaś człowieka, ma jednak bezpośredni związek z porządkiem nadprzyrodzonym. Człowiek sam odkrywa sens własnej egzystencji, ale źródłem tego sensu i celem zarazem ludzkiego wysiłku woli, umysłu i serca jest Bóg. Opatrzność czuwa więc nad światem, w którym człowiek może odczytywać znaki jej działania. Ale działa w świecie również Księża Ciemności - i w ten sposób historia staje się dla Zdziechowskiego tym, czym przestrzeń sceniczna średniowiecznego misterium: polem nieustającej nigdy i nigdzie walki metafizycznych potęg Dobra i Zła o duszę ludzką.

Apokaliptyczna wizja przybiera u Zdziechowskiego postać cyklicznej koncepcji dziejów. Charakterystyczny to zresztą motyw dla wielu warszji katastrofizmu. Z krwawo zapisywanych przez rosyjskich rewolucjonistów kart historii odczytywał Zdziechowski trzecią wielką ofensywę Azji przeciwko Europie. Pierwszą prowadzili w V wieku Hunowie, drugą - po siedmiu wiekach - Mongołowie, i oto znów po siedmiu wiekach nad łacińską cywilizacją zawisła groźba zagłady ze strony barbarzyńskiego Wschodu. Jednak dostrzeżenie powtarzalności katastrof dziejowych nie zaprowadziło Zdziechowskiego ani do przyzwolenia na fatalistyczną bierność wobec wydarzeń, na które rzekomo nie możemy mieć wpływu, bo spełnienie ich jest nieuchronne, ani do zanegowania teleologii historii. Zdziechowski nie ulegnie również pokusie zrajonalizowania kaktaklizmu przez zaakceptowanie go jako przejawu ducha dziejów, uznanie porewolucyjnego "porządku" za prawidłowość historyczną, w myśl zasady, iż to, co rzeczywiste, nie może nie być rozumne.

Co pozwoliło Zdziechowskiemu uniknąć takich następstw katastrofizmu? Sądzę, że szczęśliwa, w tym przypadku, niekonsekwencja. Dostrzegając zjawisko cykliczności wydarzeń /a zatem i kaktaklizmów/ historycznych, wpisywał zarazem ów cykl w obręb li-

nearnego jednak porządku dzisiaj, którego punkt Omega - umieszczony niejako na krawędzi doczesności i transoendencji - oznacza kres również działalności zła metafizycznego w historii. Tylko dzięki ohrześciainstwu pogodzić można wizję doczesnej zagłady z wiarą w ostateczne zwycięstwo prawdy - choć już po z a historią.

Wiara w ostateczny triumf dobra nie wyklucza więc realności doczesnej katastrofy, ale doznanie tej realności nie upoważnia do rezygnacji z heroizmu. Do przyzwolenia na zniewolenie. A zwłaszcza na zniewolenie umysłu. Tylko nieliczni - jak Miłosz - potrafili nie tylko ocalić swoją godność, ale także zrozumieć i opisać proces zniewolenia. Nie znam lepszego komentarza do wizji Zdzisłowskiego niż ten oto osterowiersz Miłosza:

Po trzykroć muszę zwyciężyć kłamliwi
zanim się prawda wielka nie ożywi
i staną w blasku jakiejś jednej chwili
wiosna i niebo, i morza i ziemię"

/"Powolna rzeka"

w: "Trzy zimy"/

Miłosz, który w latach 30-tych chodził na wykłady Zdzisłowskiego na Uniwersytecie Stefana Batorego, wspomina w "Rodzinnej Europie" sylwetkę autora "W obliczu końca", który "Idzie ulicami Wilna, czytając z barokowych jak zawsze w tym mieście ohmur tragedię oszalałej i skazanej ludzkości". Metafora użyta przez Miłosza, w lapidarnym skrócie oddaje niepowtarzalny spłot dwu podstawowych wątków myśli autora "Wizji Krasińskiego": tradycjonalizmu i katastrofizmu; zakorzenienia w kulturę polsko-litewską i europejską oraz wizji zbliżającej się zagłady.

Pogodzenie wiary w zwycięstwo dobra z konstatacją zagłady jest u Miłosza zaskakująco bliskie poglądom Zdzisłowskiego. Tak samo rozwiązuje on dylemat cykliczności i linearności historii. Czas jest powtarzalny i powtarzalna jest wielokroć zagładą, lecz koło historii kiedyś musi się zamknąć. Od Zdzisłowskiego, być może, nauczył się Miłosz też nieufności do "ducha dziejów". I wreszcie imperatywu heroizmu.

x

Nihilistyczne spustoszenie oznione przez rewolucję, jest efektem - mniema Zdzisłowski - radykalnego zerwania /w bolszewizmie/ wszelkich związków z kulturą i tradycją polityczną Europy, a pośrednio konsekwencją antykyocydenalizmu XIX-wiecznej mys-

li rosyjskiej, zarówno w jej wersji słowianofilskiej, jak i w anarchizystycznej utopii Bakunina i jego następców. W powszechnej niemal nienawiści do wszystkiego, co zachodnie, europejskie, katolickie, ginęły pojedyncze głosy Czaadajewa czy Sołowjowa. A jeśli zważyć, że ów antyokcydentalizm łączył się w bolszewizmie z negacją własnej narodowości i tradycji, to oczywiste i neutralne stawało się dążenie do zniszczenia starego świata i budowania na jego gruzach nowego, wykoncypowanego z doktryny. Rewolucja oznacza więc radykalne zaprzeczenie zasady, iż "conservatio est continuatio creatio", zasady, której respektowaniu zawdzięcza Europa przetrwanie - w stale zmieniającej się przecież rzeczywistości - podstawowe wartości swej cywilizacji.

Hibilizm rewolucji - mówił Zdzisławowski - kieruje swą ostrze przeciwko religii, a właściwie przeciwko jakimkolwiek metafizycznym tęsknotom człowieka. Celem komunizmu jest bowiem nie tylko instytucjonalne zniszczenie religii, ale wykorzenienie z duszy ludzkiej wszelkiej myśli o Bogu i życiu nadprzyrodzonym; zniszczenie nie tylko wiary, ale i jej psychologicznej możliwości. Był przekonany autor "Psychologii bolszewizmu", że to właśnie polityczny ateizm, czy wręcz antyteizm sprowadzający człowieka do materialnego jedynie wymiaru jest źródłem moralnych i społecznych dewiacji komunizmu. Człowiek pozbawiony potrzeb duchowych i "wyzwolony" z norm religijno-moralnych, staje się plastycznym materiałem do urabiania odindywidualizowanego członka "kolektywu". Nie trzeba udowadniać, że ów "nowy człowiek" będzie oazkowiec dyspozycyjny wobec despotycznej władzy. /Na ten aspekt totalitaryzmu wskazywali zresztą często autorzy analizujący komunizm z innych, niż Zdzisławowski, pozycji ideowych/. Była to również konsekwencja traktowania rzeczywistości społecznej jako pola doświadczalnego doktryny.

Ze zgrozą cytował Zdzisławowski słowa Zinowiewa: "w każdym intelektualistcie widzę wroga władzy sowieckiej" i hasło, pod którym Czerwona Armia rozpoczynała walkę o podbój świata: "dołoj inteligencja". Głosił konsekwentnie, że krytyka komunizmu nie może poprzestawać na ewokowaniu grozy czerwonego terronu, ani ograniczać się do wykazywania absurdalności komunistycznej gospodarki /choć jest to również potrzebne i ważne/, ale docierać winna do spraw fundamentalnych: wizji człowieka i duchowego oblicza tworzonej przezń kulturę. Krytyka ta powinna być więc obroną i afirmacją wartości najwyższych i równocześnie najbardziej zagrożonych: religii, kultury, tradycji, a także duchowej i po-

litycznej wolności jednostki. By wytrwać w postawie służby wobec tych wartości, trzeba uświadomić sobie, że świat i historia nie zaczynają się od nas. Z poczucia niezbędności zachowania ciągłości rozwoju historycznego wynikało przekonanie, że destruktoryjnych następstw komunizmu nie można zlikwidować przeciwstawiając mu jakiś "pół-bolszewizm"; usiłują przelicytować komunistów w demagogii socjalnej. Bolszewizm - pisał - "można pobić tylko odważną negacją tej negacji, jaką on jest, innymi słowy, mocnym oparciem się na tych pierwiastkach przeszłości, których wartość istotna jest i trwała". Tylko dowartościowanie tradycji, którą stanowią zarówno wartości dziedziczone z dorobku cywilizacji chrześcijańsko-kacińskiej jak i specyficznie polska tradycja polityczna, może dać szansę ocalenia niepodległości narodowej i wolności jednostki.

Z przerażeniem konstatował jednak postępujące zac zadanie umysłów, tym bardziej groźne i niezrozumiałe, że szerzące się wśród elity intelektualnej Europy i Polski. Widział w tym niepojętą dlań tendencję samobójczą. Ostrzegał, że pokonaliśmy militarną ofensywę Wschodu, ale nie potrafimy, lub nie chcemy przeciwstawić się jeszcze groźniejszej agresji duchowej, rozkładowi kultury europejskiej od wewnątrz. W mowach rektorskich, w odczytach i przemówieniach radiowych apelował do sumień i umysłów, do poczucia odpowiedzialności za wspólne dobro, ale coraz jaśniej widział, że głos jego jest głosem wołającego na puszczy.

W rozważaniach Zdzisława Zdzichowskiego odnaleźć możemy jeden z podstawowych tematów podejmowanych przez polską myśl konserwatywną: problem ideowego kształtu niepodległości. Konserwacja idei niepodległościowej była w większości XIX-wiecznych wersjach konserwatywnym jednym z najważniejszych elementów doktryny zachowawczej, chociaż, w zależności od sytuacji politycznej, zmieniały się koncepcje modelu walki o niepodległość, od "romantycznego" czynu zbrojnego, do "realistycznego" postulatu utrzymania substancji i tradycji narodowej. Dla wszystkich jednak konserwatystów, którzy nie wyrzekli się idei niepodległościowej, kardynalną zasadą było hasło Hotelu Lambert: "najpierw być, a potem jak być". Oznaczało to konieczność postawienia ponad sporami o kształt społeczny przyszłej Polski wewnętrznego nakazu zespolenia energii narodowej w realizacji celu podstawowego: niepodległości.

Jednakże postulat "najpierw być, a potem jak być" nie znaczy "zamiast jak być"! Nie wynika z niego, by ukrywać należało swe pryncypia ideowe, a wynika jedynie to, by z ich wypełnienia nie czynić warunku działań niepodległościowych. Sytuacja zmieni-

za się po odzyskaniu niepodległości. Sprawa kształtu ideowego niepodległego państwa stała się wówczas zasadnicza. Zasadnicza stała się również kwestia, czy myśl polska będzie myślą państwową, a zatem, czy uwzględniad będzie dobro wspólne, czy też będzie usiłowała dzielić klasy i warstwy, osłabiając tym samym również niezawisłość państwa? Na tę kwestię myśl konserwatywna była szczególnie czuła.

Dlatego po 1918 roku na plan pierwszy w myśli konserwatywnej wysuwa się ten właśnie temat: jaka /w sensie ideowym/ niepodległość? Równoległe do rozważań Zdziechowskiego, zagadnienie to roztrząsano w środowisku najbliższych mu zachowawców wileńskich, w gronie krakowskich neo-stańczyków, a ze szczególnym naciskiem w publicystyce twórców Stronnictwa Zachowawczego /Kazimierz M. Morawski, Konstanty Broel-Plater, Hieronim Tarnowski/, mającego ambicję bycia ośrodkiem "czytętego, integralnego konserwatyizmu". Zachowawcy polscy uważali, że sens słowa "niepodległość" ma zakres szerszy niż tylko posiadanie własnego, niezawisłego od obcych czynników państwa. Niepodległość - w ich mniemaniu - znaczy, a w każdym bądź razie powinna znaczyć, także nie uleganie wpływom destrukcyjnym doktryn, sprzecznych z tradycją narodową i podważających usankcjonowany prawem boskim ład społeczny. Wyrażali konserwatyści wątpliwość, czy wyrzeczenie się zasad tradycji, autorytetu, religii i etyki w życiu społecznym nie uczyni wątpliwą samą niepodległość. Konsekwencją odzyskania niepodległego bytu państwowego powinno być stworzenie warunków umożliwiających podjęcie na nowo realizowanego przez I Rzeczpospolitą zadania dziejowego, przez które rozumieli konserwatyści utwierdzenie kultury łacińskiej i religii katolickiej na wschodzie Europy. Wykonywanie przez państwo jego misji cywilizacyjnej, jeden z zachowawców - Plater, uznawał wręcz za ostateczną r a c j ę b y t u . n a r o d o w e g o . Przestrzegali konserwatyści, że jeśli Polacy, zamiast wrócić do wypróbowanych historycznie wartości i obdarzonych opatrnością sankcją zadań, oddadzą się ryzykownym eksperymentom społecznym, to nie tylko narazą młoda państwowość na niebezpieczne wstrząsy, ale mogą również doprowadzić do zaistnienia sytuacji, w której zachowają wprowadzić niezawisłość państwową, ale inny będzie desygnat pojęcia "państwo" od desygnatu pojęcia "czczyzna", bp będą je tworzyć odmienne zespoły wartości. Tego właśnie obawiał się Zdzie-

chowski, gdy pisał o niebezpieczeństwie "pół-bolszewizmu polskiego".

Analiza poglądów Zdziechowskiego pozwala na obserwację, że osąd świata współczesnego i systemów politycznych nie był w tej myśli dekonywany przez najbardziej dziś powszechną opozycję: demokracja - totalitaryzm, lecz na płaszczyźnie konfliktu dwóch antynominalnych światów: świata t r a d y c j i, mieszczącego zasadę legitymizmu rojalistycznego, świata, w którym rządzi prawo moralne i w którym istnieje "naturalna" hierarchia społeczna; oraz świata r e w o l u o j i, obejmującego wszystkie wersje sprzeciwu wobec ancien régime'u, od demokratycznej republiki, opartej na woli "ludu" i na 5-cio przymiotnikowym głosowaniu, poprzez ruchy radykalne i socjalistyczne, aż po komunizm, który - zdaniem Zdziechowskiego - od socjalizmu odróżnia tylko skrajność doktrynalna i terror.

Zdziechowski kontynuuje więc ten kierunek nowożytnej myśli europejskiej, której reprezentanci podejmują krytykę negatywnych aspektów demokracji. Jego argumenty przeciw demokracji są zresztą typowe: panowanie ilości nad inteligencją, powszechność karierowiczostwa i demagogii, zanarchizowanie mas. Sprzeciw wobec demokracji oznaczał w tym przypadku obronę prymatu moralności i wiedzy nad "mechaniczną" zasadą głosowania powszechnego. Chodziło Zdziechowskiemu o takie mechanizmy społeczne i instytucjonalne, które zagwarantują rządę prawa, przestrzeganie moralności w życiu publicznym i wpływ elit intelektualnych oraz warstw "historycznych" na władzę. Najpełniej, mniemał, realizują się te zasady w systemie monarchistycznym, bowiem sakralność Korony i religijny charakter rytuału koronacyjnego objawia transcendentne źródło władzy monarchszej i nakłada na monarchę obowiązki moralne, których naruszenie byłoby złamaniem przysięgi religijnej.

Upadek "pryncypu" monarchicznego we współczesnych demokracjach jest więc, zdaniem Zdziechowskiego, jedną z najpoważniejszych przyczyn chaosu moralno-politycznego ogarniającego Europę. Lekceważenie tradycji i upadek autorytetu władzy prowadzą do zaniku ducha obywatelskiego i groźnej w skutkach negacji zasad moralnych w polityce, czego symptomem są coraz namiętniej ujawniane egoizmy klasowe i narodowe. Nienawiść klas i narodów - zamiast poczucia duchowej i politycznej wspólnoty narodów Europy chrześcijańskiej - oto obraz demokratycznej epoki. Za największy grzech demokracji uznał bowiem Zdziechowski zanegowanie etyki w życiu publicznym; przekonanie, że można oddzielić moralność

prywatną jednostki od etyki politycznej, opartej rzekomo na edmiennych zasadach interesu klasowego bądź narodowego. Upowszechnianie się takich poglądów wiązało z gwałtowną demokratyzacją społeczną, awansem politycznym warstw nieoświeconych, wnoszących do życia publicznego pierwiastek brutalności i lekceważących imponderabilia, a także tradycyjną kulturę polityczną dotychczasowych elit.

Również demokratyzacja była przyczyną zwulgaryzowania /w doktrynie egoizmu narodowego/ romantycznej idei narodowej pozostającej dotąd w symbiozie z chrześcijańskim uniwersalizmem. Dziś /tj. w wieku XX/ idea ta staje się często usprawiedliwieniem ekspansjonizmu i wynaradawiania innych ludów. "Trzeba rozzerwać ten związek /z zaborczością/ i wrócić - pisał - do takiego pojmowania idei narodowej, która dla własnej tradycji łączyć będzie z ideą współpracy narodów chrześcijańskich". Dlatego w swoich opcjach politycznych opowiadał się za tym nurtem, który aspiracje narodowe łączył z uniwersalizmem - za obozem piksudozykowskim. Poparł czyn legionowy, a w 1926 roku opowiedział się stanowczo za programem reformy ustrojowej Państwa. Nie był jednak działaczem politycznym. Był politycznym myślicielem i moralistą, owładniętym ideą polityki chrześcijańskiej, powrotu w życiu publicznym do zasad Kazania na Górze. Nie wierzył, by bez tego religijnego podkładu mogły się zrealizować ideały Ligi Narodów i powszechnego pokoju. A drogę do jedności narodów widział tylko jedną - zrealizowanie idei federacyjnej: powszechnego związku równouprawnionych państw chrześcijańskiej Europy. Idei w Europie wciąż - od Karola Wielkiego żywej, ale i wciąż wypaczonej w pokusie dominacji nad innymi, w próbach jednoczenia przez przymus. Wciąż - z jednym chlubnym wyjątkiem jagiellońskiej Polski. Unia polsko-litewska to dla Zdziechowskiego dowód, że polityka chrześcijańska jest mimo wszystko możliwa.

I

Spróbujmy, przebiegając raz jeszcze pamięcią pisma Zdziechowskiego, odpowiedzieć na pytanie: czego dziś szukać możemy w jego dziełach ad usum delphini? I z oską pewnością można stwierdzić od razu, że nader wątpliwą korzyść możnaby wynieść, gdyby traktować je jako zbiór konkretnych dyrektyw politycznych. Postulaty polityczne Zdziechowskiego, chociaż ze szlachetnych przesłanek moralnych wywiedzione, już w czasie ich formułowania musiały wydawać się naiwne i nierealne, ponieważ nie uwzględniały wszyst-

kich elementów skomplikowanej przecież rzeczywistości politycznej Polski i Europy. Nie we wskazaniach taktyczno-politycznych leży jednak aktualna wartość tej myśli.

Zdziechowski - pisarz polityczny nie pisał mimo wszystko "podstaw polityki polskiej". Pisał natomiast o imponderabiliach, których chciał bronić. Pisał o postawie, jaką powinien przyjąć Europejczyk w zetknięciu z totalitaryzmem. Przenikliwie i precyzyjnie wskazywał na złowrogię konsekwencje przyjęcia zasady, że historia ma zawsze rację, że jest zawsze "słuszna" i "prawidłowa". Odkrył metafizyczny wymiar zła przenikającego system komunistyczny - i to jest najbardziej oryginalna część jego analiz.

Dlatego jeżeli nie chcemy wyrzec się przymierzania kryteriów moralnych do życia politycznego; jeżeli wierzymy, że kultura europejska i nasza tradycja narodowa są wciąż największym dobrem duchowym, jakie posiadamy - i bez którego zatracilibyśmy tożsamość, jeżeli wreszcie, wewnętrzne poczucie harmonii z prawem moralnym i z ostatecznym celem człowieka jest dla nas ważniejsze niż docelny sukces i spokój zewnętrzny - to myśl Mariana Zdziechowskiego może okazać swą przydatność w kształtowaniu i uzasadnianiu naszej postawy wobec rzeczywistości.

"Co będzie - zadawał prorocze pytanie - gdy nagle, pewnego dnia znajdziemy się wszyscy w kleszczach czerwonego terrozu?"
Wiemy już dziś co b y ł o. Nie wiemy, co b ę d z i e d a l e j.
Ale wiemy - i powinniśmy wyciągnąć tej wiedzy konsekwencje -
o o b y ć p o w i n n a c.

Historia najnowsza i historycy

Co to jest historia najnowsza? Czym różni się od pozostałej części historii nowożytnej? Na pytania te przyjęło się odpowiadać, że historią najnowszą jest czas, który żyjący ogarniają pamięcią własną lub znają z przekazu swoich rodziców. Jest to zatem okres dziejów bezpośrednio minionych, czas sporów i emocji żywych jeszcze w ludzkiej świadomości. Definicja ta jest wysoce nieprecyzyjna, choć ma cechy pozytywne. Codzienna obserwacja pozwala stwierdzić, że to co dla ludzi starszych jest żywą jeszcze przeszłością, co pobudza do dyskusji i wydawania osądów, dla młodych należy już do zamierzonej historii. W myśl tej definicji powinniśmy uznać za datę początkową historii najnowszej rok 1939 lub 1945. Szczególnie ta druga data jest związana z początkiem nowego etapu dziejów.

* Wbrew jednak tym definicjom, choć nie bez uzasadnienia, historycy przyjmują w swych badaniach za początek epoki najnowszej rok 1864. Cezura ta wyznaczona jest klęską powstania styczniowego, zamknięciem etapu dominacji romantyzmu politycznego i kulturalnego. Popowstańcove represje i reformy carskie podważyły społeczną pozycję szlachty i stworzyły warunki dla wzrostu znaczenia chłopstwa. Rozwijający się gwałtownie od połowy wieku przemysł tworzył klasę robotniczą. Przemiany te miały przynieść zmierzch epoki, w której podmiotem działania politycznego była warstwa szlachecka. Przeobrażenia w zaborze rosyjskim wyprzedzały przemiany dokonujące się w Galicji, choć i tu lata 60-te przyniosły generalną zmianę w położeniu ludności. Bardziej ewolucyjnie toczyły się dzieje zaboru pruskiego, lecz także tam społeczeństwo feudalno-szlacheckie w połowie XIX wieku zmieniało się w społeczeństwo typu wczesnokapitalistycznego. Ożywienie warstw ludowych, przede wszystkim chłopstwa i klasy robotniczej, pojawienie się inteligencji jako odrębnej grupy społecznej, stwarzało warunki dla powstania masowych ruchów politycznych. Zawiązanie się partii politycznych, które działały do pierwszych lat po wojnie w kraju, a do dziś na emigracji stanowią kolejny etap w historii najnowszej. Na przełomie lat 80 i 90 pojawiły się

Narodowa Demokracja, Polska Partia Socjalistyczna, Polskie Stronnictwo Ludowe, Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, rozpozęli swą działaalność: Piłsudski, Dmowski, Witos, Korfanty, Daszyński i wielu innych polityków, których nazwiska kojarzą się z dziejami najnowszyimi.

Nie widzę potrzeby omawiania dalszych oszur wewnętrznych najnowszej historii. Są one dość oczywiste: 1918, 1939, 1945. W ostatnich latach niektórzy historycy postulują przyjęcie roku 1918 jako daty zapoczątkowującej najnowszy okres dziejów. Twierdzą oni, że otwisrał się wówczas zupełnie nowy etap wyznaczony istnieniem niepodległego państwa. Zapominają jednak przy tym, że konflikty polityczne i społeczne zapoczątkowane przed 1914 rokien toczyły się nadal po 1918, że nie da się zrozumieć problemów II Rzeczypospolitej bez znajomości problemów lat woześniejszych, że rok 1918 przeocina "na pół" życiorysy najwybitniejszych działaczy politycznych kształtujących oblicze Niepodległej. Bezdyskusyjna raczej jest ocuzura roku 1945. Skończyła się okupacja niemiecka, Polska na wiele lat weszła w zależność od Rosji, komuniści przystąpili do niszczenia wszystkich niekomunistycznych ruchów politycznych. Towarzyszyły temu zmiany obszaru nie tylko państwa, ale w ogóle obszaru zamieszkałego przez Polaków. Zalała się dotychczasowa struktura społeczna i tworzyła się całkowiec nowa. Jeśli zatem w dalszej części niniejszego szkicu koncentruję się na historiografii II Rzeczypospolitej, czynię to ze względu na troskę o objętość tego artykułu. Uwagi o charakterze ogólnym dotyczące metodologii badawczej zachowują swą moc w odniesieniu do okresu woześniejszego. Jedynie wspominając o historiografii przedwojennej powołużę się na prace dotyczące lat 1864-1918, gdyż ten okres stanowił wówczas historię zupełnie najnowszą. W swoich rozważaniach zatrzymuję się jedynie nad historią polityczną, pomijam poza kilkoma najbardziej wartościowymi i popularnymi pozycjami historiografię dziejów gospodarczych i omówienie dziejów kultury.

x x x

"Po roku 1918 kwestia przyczyn upadku i rozbiorów zeszała na plan dalszy, a w osntrum zainteresowania publicystryki i historii najnowszej stanęła sprawa odbudowy państwowości polskiej - pisze Janusz Pajewski - Problem historyczny, naukowy, powiązano od pierwszej chwili z problemem politycznym, z problemem wal-

ki o władzę w odbudowanym państwie pomiędzy dwoma obozami, które dla uprozczenia, choć nieściśle, nazwać możemy obozem Piłsudackiego i obozem Dmowskiego. Taki charakter dyskusji sprawił, że zajmowano się nie tyle wyjaśnieniem naukowym przyczyn wielkiego faktu dziejowego - odzyskania przez naród niepodległości Polski, ile ustaleniem zasług poszczególnych ludzi i poszczególnych obozów w dziele odbudowy państwa" /J.Pajewski - "Odbudowa państwa polskiego 1914-1918", Warszawa 1978/ W tej konwencji pisane były np. R.Dmowskiego - "Polityka polska a odbudowanie państwa" /1925/, M.Seydy - "Polska na przełomie dziejów /t.I - 1927, t. II - 1931/, a z przeciwnego stanowiska "Walka Zbrojna o niepodległość Polski" Wacława Lipińskiego oraz "Józef Piłsudski" Władysława Pobóg-Malinowskiego. /opublikował on również pisaną z pozycji demaskatorskich historię Narodowej Demokracji/.

Usystematyzowaniu badań nad niedawną przeszłością służył Instytut Najnowszej Historii Polski i wydawany od 1929 r. kwartalnik "Niepodległość" redagowany przez Leona Wasilewskiego. Z dziejami walk o niepodległość związana była historia stronnictw politycznych. Wymieniony Instytut służył przede wszystkim potrzebom badania przeszłości socjalistyczno-piłsudczykowskiej przeciw wspólnej do 1914 r., a i później - przez kilka lat - podobnej. PPS prowadziła również badania we własnym zakresie. Od 1935 r. ukazywała się "Kronika ruchu rewolucyjnego w Polsce". W 1933 wydano "Księgę Jubileuszową PPS" przygotowaną przez kilku autorów, będącą syntetycznym opracowaniem dziejów partii. Nie prowadzili własnego pisma historycznego narodowi demokraci, zadowalając się jedynie publikowaniem przyczynków do dziejów swego ruchu we własnych pismach teoretycznych.

Prócz wymienionych opracowań na szczególną uwagę zasługują "Dzieje polskiej myśli politycznej" Wilhelma Feldmana /wyd. I 1933/, "Wskrzeszenie państwa polskiego" Michała Bobrzyńskiego /wyd. 1920/, "Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim do powstania PPS" Feliksa Perka /wyd. I w 1910, II w 1932 r./.

Udaną próbą przedstawienia dziejów odrodzonego państwa było "Pierwsze piętnastolecie Polski niepodległej" Adama Próchnika /wyd. 1933/. Ponadto wydano szereg opracowań z historii prawa, zarówno z przed jak i po 1918 roku.

x x x

Podczas okupacji nie ukazały się ważne dzieła historyczne, choć okres walk o niepodległość i dziejów Drugiej Rzeczypospoli-

tej funkcjonował w publicystyce wszystkich ośrodków politycznych. Trwalsze znaczenie ma bodaj jedynie "Historia Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939 roku" Stanisława Mackiewicza, opublikowana w Londynie w 1941. Ranga tego dzieła wynika jednak nie z obiektywizmu wykładu, ale z dokumentacyjnej i literackiej wartości książki.

x x x

Po 1945 Polska znalazła się pod rządami komunistycznymi. Najwybitniejsi historycy przedwojenni czasów najnowszych zginęli jak Frócnik, znaleźli się na emigracji jak Pobóg-Malinowski, lub w więzieniu jak Lipiński. Swoboda badań naukowych, szczególnie historycznych została poważnie ograniczona niemal od początku. W latach 1945-48 wydano bardzo mało wartościowych opracowań naukowych. Historia ostatnich dziesięcioleci była przedmiotem sporów polityków i publicystów, znacznie różniących się jednak od prowadzonych przed 1939 rokiem. Jeśli bowiem wówczas antagoniści dysponowali dużą swobodą wypowiedzi, to obecnie odebrano prawo głosu publicystom i historykom reprezentującym stanowisko proeuropejskie czy propiśsudowskie. Wkrótce zamilkli również ludowcy i socjaliści. Dyskusja o polityce polskiej ostatnich lat kilkunastu lat toczyła się między komunistami i skrajną lewicą socjalistyczną. Historia ponownie miała służyć uzasadnieniu pretensji do władzy, tym razem jednak władzy totalnej, wyposażonej w receptę zbudowania nowego społeczeństwa i nowego, odciętego od tradycji narodu.

Badania historyczne utrudnione były jednak również z przyczyn naturalnych. Podozas wojny została zniszczona większość archiwaliów, a te które coalaży znajdowały się w rozproszeniu.

W tym niesprzyjającym badaniom naukowym okresie "Historię polityczną Polski w dobie popowetaniowej 1864-1918" opublikowała w 1948 Henryk Wereszycki. Odpowiadająca kryteriom naukowym synteza niemal od razu spotkała się z gwałtownymi atakami partyjnych publicystów i nie weszła wówczas do obiegu naukowego, z którego wypierano konsekwentnie "wpływy burżuazyjne". Komuniści traktowali naukę, w tym historię, jako część ideologii, narzucali siłą metodologię marksistowsko-leninowsko-stalinowską i byli zdecydowani tępić odmienne poglądy naukowe za pomocą metod administracyjnych. Żądali przyjęcia przez badaczy metodologicznych wzorów radzieckich, ale także przystosowania swego punktu widzenia do poglądów "uczonych" stalinowskich. W 1948 pełnił władzy w PPR

przejęcia frakcja stalinowska. Oznaczało to przyspieszenie i zaostrożenie "polityki naukowej". Z wyższych uczelni zaczęto usuwać tych historyków, którzy nie rokowali nadziei na to, że przyswoją sobie metodologię marksistowsko-stalinowską. Czystka objęła mediewistów i nowożytników, a tym bardziej dotknęła badaczy historii najnowszej.

Na opróżnione katedry przybyło pierwsze pokolenie historyków najnowszych Polski Ludowej. Byli to przeważnie ludzie czynnie uczestniczący w działalności komunistycznej przed i w czasie wojny. Członkowie KPP, Związku Patriotów Polskich, oficerowie polityczni armii Berlinga, rządziej członkowie podziemnego PPR, po wojnie zaczęli łączyć działalność polityczną z przysposobieniem naukowym. Do grupy tej zaliczyć należy m.in. Żannę Kormanową, Felicję Kalicką, Leona Grosfelda, Józefa Kowalskiego, Tadeusza Daniszewskiego, Walentynę Najdus. Ich pogląd na dzieje Polski był poglądem działaczy komunistycznych, utożsamiających się z pryncypiami SDKPiL i KPP. Pogląd ten charakteryzował się ostrą opozycją do wszystkich niekomunistycznych kierunków politycznych, ideowych, społecznych, kulturalnych, gwałtownym antyklerykalizmem, antyzachodnością, demaskowaniem wpływów wielkiego kapitału, nacjonalizmu i imperializmu polskiego, operowaniem dychotomicznym podziałem na "postępowe" /czyli komunistyczne i prokomunistyczne/ i "reakcyjne" /czyli niekomunistyczne/. Idealnym pierwowzorem i obiektem uwielbienia był Związek Radziecki, a za niechęć do jego ustroju rozliczono surowo wszystkie tendencje ideowe i polityków Polski niepodległej. Drugą Rzeczpospolitą uznawano za państwo powstałe wskutek zbyt słabego napięcia ruchu rewolucyjnego, który nie zdołał zaprowadzić władzy radzieckiej na ziemiach polskich. Było to więc państwo zbędne, państwo, które odsunęło perspektywę zbudowania ustroju komunistycznego w tym regionie Europy.

Oficjalnie obowiązujący pogląd na Drugą Rzeczpospolitą przedstawiła Żanna Kormanowa na I kongresie Nauki Polskiej: "Państwo polskie 1918-1939 było pierwszym i ostatnim w dziejach naszego narodu państwem burżuazyjnym, burżuazyjno-obszarniczym /.../ W konkretnych warunkach historycznych zamówienia ideologiczne klas panujących wobec nauki historycznej polegały na wydobyciu z przeszłości narodu polskiego elementów, które wspierałyby imperialistyczną politykę burżuazji i obszarnictwa, politykę zaborczą na Wschodzie, służącą na Zachodzie, nacjonalis-

tyczną wobec tzw. mniejszości narodowych, bezwzględna wobec polskich mas pracujących, eksterminacyjną wobec rewolucyjnej awangardy polskiej klasy robotniczej /.../ Analogiczna była funkcja klasowa obciążonego klerykalnie kosmopolitycznego mitu o zachodniości kultury polskiej. W przeciwstawieniu Wschodowi Zachodu przemilczano aktualny sens tego przeciwstawienia, przeciwstawienia socjalizmowi - kapitalizmowi, klasie robotniczej - burżuazji imperia-listycznej."

Prace historyczne i badania dokumentacyjne powstałe w kręgu PPS odrzucano jako "wyjaławiające przeszłość z jej rewolucyjnej treści" i "oceniające ją z pozycji nacjonalistycznych", zatem spełniające "obiektywnie rolę reformistyczno-opportunisticznej dywersji". Jedną partią, która prowadziła generalnie słuszną politykę była KPP. "Marksistowska myśl historyczna - kontynuowała Kormanowa - stosując genialne wskazania Lenina i Stalina, wykazała dla współczesnych polskich historyków-marksistów oręż metodologicznych koncepcji i ocen, podstawowe założenia dla marksistowsko-leninowskiej najnowszej historii Polski, utworzyła drogę dla powstania prawdziwej, marksistowsko-leninowskiej nauki historycznej w Polsce." Kormanowa przestrzegała przed wrogiem klasowym, który "w naszym kraju jeszcze działa", toczy coraz zajadłej "walkę o odnięcie koła historii wstecz" i przypominała, że trzeba prowadzić z nim walkę, która "musi znaleźć odbicie w dziedzinie ideologicznej w ogóle, a więc i w dziedzinie nauki historycznej."

Przedstawiony tu obraz dziejów i metodologii odnosił się do całej historii, szczególnie jednak do historii XIX i XX-wiecznej. Historycy epok starszych podjęli badania struktur gospodarczych i społecznych, szczególnie chłopstwa. Wyniki ich pracy po poprawkach metodologicznych i wprowadzeniu po 1956 bardziej wyważonych ocen okazały się pożyteczne. Uzupełniły bowiem obraz dziejów zamierzonych o nowe elementy. W odniesieniu do drugiej, połowy XIX i XX wieku nie osiągnięto postępów. W okresie stalinowskim prowadzono w zasadzie jedynie badania nad dziejami ruchu robotniczego, demaskując "agenturę reformistyczną" czyli PPS, atakując luksemburgizm, pisząc o KPP bez wymieniania jej przywódców i ich koncepcji. /Straceni w 1938 w ZSRR działacze KPP uważani byli za prowokatorów i agentów polioji, nie można więc było ich wymieniać w pozytywnym kontekście/. Nawet zatem w badaniach nad dziejami ruchu komunistycznego nie osiągnięto postępu.

Jako typowe dla tego okresu można wymienić monografie: F.Kalikowej - "Powstanie krakowskie 1923" /1953/, L.Grosfelda - "Polska w latach kryzysu gospodarczego 1929-1933" /1952/, J.Kowalskiego - "Wielka Październikowa Rewolucja Socjalistyczna a wyzwolenie Polski" /1952/, T.Daniszewskiego - "Zarys historii polskiego ruchu robotniczego" /1956/. Opublikowano kilka hagiograficznych biografii działaczy komunistycznych /np. "Feliks Dzierżyński" Daniszewskiego/. Większość wymienionych oraz kilku innych /m.in. Ż.Kormanowa/ było autorami skryptów obejmujących ośkość dziejów najnowszych a wydanych przez Szkołę Partyjną przy KC PZPR. Wydane w okresie stalinowskim wyborny źródła dotyczyły wyłącznie ruchu komunistycznego. Dokumenty były ponadto preparowane zarówno przez tendencyjny wybór, jak i pomijanie niewygodnych fragmentów. Masowemu czytelnikowi dostarczono ponadto artykułów popularnych, przedstawiających okres międzywojenny jako jedno pasmo nieszczęść, a przywódców politycznych jako agentów niemieckich. W tym tonie utrzymane były np. książki Stefana Ąrskiego - "Przekłete lata" oraz odpowiednio spreparowane fragmenty pamiętników Józefa Boka i Jana Szembeka.

Pod koniec okresu stalinowskiego opublikowano trzy prace uznaniów wymienionych wyżej historyków, które w odróżnieniu do wspomnianych monografii funkcjonowały jeszcze w świecie historyków przez kilkanaście lat. Były to: Stanisława Kalabińskiego - "Antynarodowa polityka endecji w rewolucji 1905-07" /1955/, Czesława Madajczyka - "Burżuazyjno-obezarnioza reforma rolna w Polsce 1918-1939" /1956/, Andrzeja Gwiźdźa - "Burżuazyjno-obezarnioza konstytucja z 1921 roku w praktyce" /1956/. Prace te funkcjonowały przez lat kilkanaście nie dlatego, by były dobre. Przeciwnie. Trudno czytać je bez irytacji. A jednak mimo to przez lata 60-te nadal się na nie powoływano uznając wartość niektórych zawartych w nich ustaleń.

x x x

Rok 1956 przyniósł zasadniczy przełom w życiu politycznym, gospodarczym i kulturalnym. W roku 1956 pękł, choć nie rozsypał się pancierz krepujący wszelką aktywność społeczną czy intelektualną. Cenzura właściwie przestała istnieć. Pojawiły się śmiałe, choć utrzymane w marksistowskiej konwencji dyskusje polityczne i kulturalne. W ciągu 1957 niezależność wypowiedzi była coraz bardziej ograniczona przez nowe kierownictwo partii. Regres w tej

dziedzinie trwało do 1960 roku, gdy nastąpiła pewna stabilizacja. Lata 1960-68 to okres tzw. małej stabilizacji. Były to lata ważne w rozwoju struktur politycznych i kulturalnych PRL, lata nie-
 tknięte dotąd refleksją historyka czy publicyisty historycznego. Aparat partyjny opanowany był w głównej mierze przez starszych działaczy o stażu przeważnie jeszcze KPP-owskim, orientujących się w znacznej mierze na tzw. grupę puławską w kierownictwie partii, która w 1956 opowiadała się za liberalizacją systemu.

Około 1962

do walki o władzę stanęła frakcja Mieczysława Moczar, której trzon kierowniczy tworzyli partyzanci GL, obecnie zajmujący wysokie stanowiska we władzach bezpieczeństwa i w wojsku. Główny atak skierowali "partyzanci" przeciw "puławianom". Frakcja moczarska posługiwała się w propagandzie akcentami plebejsko-patriotycznymi i atakowała tendencje "kosmopolityczne". Apoteozowano przeszłość wojenną, szczególnie walkę partyzancką. W 1965 Moczar publicznie wystąpił o rehabilitację czynu zbrojnego Armii Krajowej /posługiwał się tu frazesem o walczących żołnierzach otumanionych przez antyradzieckie i antykomunistyczne dowództwo/. Moczarsowcy nie przejawiali specjalnej czci dla przedwojennych komunistów i w ogóle nie posługiwali się wyraźnymi kategoriami klasowymi w ocenie przeszłości. Były to poglądy sprzyjające budowaniu pewnej popularności "partyzantów" w społeczeństwie i należy sądzić, że dlatego też świadomie były podnoszone.

Frakcja "liberalna" w PZPR godziła się na ożywienie filozofii, socjologii, ekonomii. Nie zwaloząła rozwijającego się w tych naukach tzw. rewizjonizmu, czyli próby wzbogacenia metodologii marksistowskiej o nowoczesne, zachodnie techniki badawcze. Neutralnym lub życzliwym okiem spoglądała na teoretyczne poszukiwania socjologów, filozofów, ekonomistów. W jakiejś mierze z poparciem liberalnej frakcji w partii korzystała literatura obrachunkowa i "nowa fala" w filmie polskim. Uogólniając te twierdzenia można powiedzieć, że broniła ona swobody twórczej literatów i swobody badań w naukach społecznych. Był jednak pewien wyjątek - historia najnowsza. Partyjni "liberałowie" wywodzący się z KPP i ZPP nie umieli dokonać rewizji oceny swej przeszłości kombatanckiej, nie umieli spojrzeć na przedwrześniową Polskę inaczej, jak z perspektywy komunistycznej. Życzliwie zatem patrząc na rewizjonizm socjologów czy ekonomistów, zwalozali rewizjonizm historyków.

Rewizjonizm w historii najnowszej polegać musiał na dwu czynnikach.

Należało odejść od stosowanej dotychczas metodologii stalinowskiej i powrócić do zasady, że podstawą orzekania o zjawiskach są fakty. Dotychczas do z góry przyjętej tendencji, wyrażającej się w aksjomatach ideologicznych. Rewizjonizm w metodologii historyków charakteryzował się zwrotem ku metodologii pozytywistycznej przy zachowaniu klasowego aspektu oceny zjawisk.

Trudniejszym do wypracowania było nowe spojrzenie na przeszłość. Historyk przystępuje do badania materiału z pewną ogólną wiedzą o okresie, przewartościowującą się zresztą w toku jego pracy. Do wiedzy tej dochodzi na podstawie przeczytanych monografii i źródeł oraz dyskusji z innymi badaczami. Jeśli jednak historyk bezpośrednio uwikłany był w opisywane przez siebie wydarzenia, trudno mu się zdobyć na obiektywizm, oceniać zjawiska niezależnie od ówczesnych sympatii i antypatii. Z tych też przyczyn pierwsze pokolenie historyków PRL zachowało nadal wyraźne klasowe oceny przedwojennego państwa, ulegało w dalszym ciągu przymierzaniu wszystkich zjawisk i wypowiedzi do jedynie słusznego stanowiska KPP. Sytuacja ta zmieniać się musiała w następnym pokoleniu, ludzi nie uwikłanych osobiście w opisywaną przez siebie epokę. Byli oni wychowankami wspomnianego pokolenia byłych działaczy KPP. Pod ich wpływem kształtowali swój warsztat badawczy i ogólny pogląd na okres historyczny. Wśród z nich przeżyło jednak wkrótce bunt intelektualny. Zaczęli patrzeć na dzieje oczyma własnymi, w sposób bardziej niezależny. Poszukując protosktorów politycznych wśród z nich spoglądało w stronę frakcji moczarskiej /m.in. T.Jędruszczyk, J.Żarnowski, A.Czubowski, M.M.Drozdowski/. Lecz nawet ci, których raziła plebejsko-totalitarna i ksenofobiczna ideologia moczaryzmu, nie poczuli się do sympatii dla frakcji puławskiej.

Obowiązywał nadal rytuał przedstawiania rohu komunistycznego jako mającego jedyną, historyczną rację, obowiązywały klasowe oceny, ale w powstających monografiach zaczynały one spełniać powoli rolę drugorzędną. Starano się odmiecologizować Drugą Rzeczpospolitą. Zaznaczyły się też pewne sympatie indywidualne, szczególnie dla lewicy PPS i rohu ludowego. Nie była w modzie afirmacja prawicy ludowej czy głównego trzonu PPS. Nie zaznaczyły się jeszcze oceny proeuropejskie czy proanacjonalne. Szczególnie miejsce w toczonych podówczas sporach zajmowała interpretacja

ideowa obcość sanacyjnego. Większość młodych historyków odrzucała pomówienie sanacji o faszyzm, choć godziła się z twierdzeniem o stosowaniu pewnych, zaczerpniętych z faszyzmu metod rządzenia /szczególnie Brześć, Bereza/. W zdecydowanej opinii do starszego pokolenia historyków młodzi twierdzili, że zamach majowy nie był przewrotem faszystowskim, a Piłsudski nie był faszystą.

Konsekwentnie prokomunistyczni byli jedynie historycy pierwszego pokolenia. Typową dla tej grupy pracą jest wydany po raz pierwszy w 1959 "Zarys historii polskiego ruchu robotniczego w latach 1918-1929" Józefa Kowalskiego. Lecz i ten autor przechodził pewną ewolucję. Wydana w 1966 jego książka "Trudne lata" różni się korzystnie od "Zarysu"... tak pod względem metodologii, jak i horyzontu patrzenia na zjawiska polityczne i społeczne.

Historycy polscy lat 60-tych podlegali jednak nadal pewnemu schematyzmowi. Nie orzekali o zjawiskach na podstawie samodzielnej analizy sytuacji społecznej, gospodarczej, politycznej, kulturalnej państwa. Przedstawiali po prostu punkt widzenia działających wówczas ugrupowań lewicy, niewolniczo porównując go ze stanowiskiem KPP.

Na przemiany świadomości młodych jeszcze wówczas badaczy wpływała publicystyka. Jak piszą A. Garlicki, T. Nałęcz i W. Władyka "częstokroć spory publicystyczne stawały się inspiracją nowych badań, skłaniały do podejmowania zaniedbanych dotąd kwereń materiałowych i archiwalnych". /"Przegląd Historyczny" 1978/. Rozszerzeniu spojrzenia historyków służyły szczególnie artykuły Andrzeja Młocewskiego w "Więzi", opublikowane następnie w książce "Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej" a także jego "W cieniu marszałka Piłsudskiego" /1968/. Wywoływały one spory, które w konsekwencji prowadziły do przekonywania skostniałych ocen.

Nie da się przecenić znaczenia tego, że po 1956 historycy mogli dotrzeć do literatury emigracyjnej. Do 1956 nie była ona zbyt obfita, choć ukazały się już pierwsze pamiętniki i opracowania przyczynkarskie /m.in. na łamach kontynuowanej w Londynie "Niepodległości" oraz "Kulturze"/. W 1955 Władysław Pobóg-Malinowski opublikował tom I, w 1956 tom II, w 1960 - III swej "Najnowszej historii politycznej Polski". Była to pierwsza synteza najnowszych dziejów Polski pozwalająca głębiej wniknąć w problem każdemu badaczowi. Praca Poboga-Malinowskiego charaktery-

zowała się jednak wyraźną tendencyjnością. Autor, osobiście zaangażowany po stronie pilsudczyków, przynosił swoje sympatie i antypatie na karty książki. "Najnowsza historia..." była wykładem bardzo cennym, ujawniającym wiele nieznanych szczegółów, systematyzującym wiedzę, w ocenach jednak anachronicznym. Udoścępnienie jej elitom historycznym wpłynęło na pogłębienie spojrzenia, ale w stopniu mniejszym oddziaływała na przewartościowanie ocen. W 1963 drogą wyodrębnienia działu historycznego w "Kulturze" paryskiej założono "Zeszyty Historyczne". Pismo ukazuje się do dnia dzisiejszego i trudno sobie bez niego wyobrazić pracę jakiegokolwiek historyka najnowszego. Na łamach ponad 50 tomów "Zeszytów" opublikowano tysiące stron unikalnych relacji, dokumentów, interesujących artykułów wydatnie wzbogacających wiedzę. Instytut Literacki /"Kultury"/ wydał również szereg książek, m.in. trzy tomy wspomnień Wincentego Witosa. Prace historyczne publikowały także inne wydawnictwa emigracyjne, m.in. "Polonia Book Found.", "B. Świdzki", "Oficyna poetów i malarzy", "Veritas", "Odnova". Ich praca wpływała na poszerzenie możliwości badawczych i silnie oddziaływała na historyków krajowych.

Po 1956 przemianom mentalności historyków towarzyszył znaczny rozwój czasopiśmiennictwa w kraju. W 1956 założono "Wojskowy Przegląd Historyczny" poświęcony historii militarnej. W 1958 ukazały się pierwsze zeszyty kwartalnika "Z pola walki" zajmującego się dziejami polskiego ruchu robotniczego. W tym samym roku wyszły tomy "Najnowszych Dziejów Polski" wydawanych w dwu edycjach: jedna obejmująca okres 1914-1939, druga 1939-1945. W 1959 opublikowano tom I "Roczników Dziejów Ruchu Ludowego". Ożywiły się: "Kwartalnik Historyczny" i "Przegląd Historyczny", gdzie publikowano wiele artykułów dotyczących także historii najnowszej. Mniejsze znaczenie miały czasopisma regionalne, wśród których warto może wymienić "Zapiski Historyczne". Interesujące artykuły można też było spotkać w "Zeszytach Naukowych WAP. Serii Historycznej".

Wydano wiele książek. Nie sposób tu wspomnieć wszystkich. Ograniczę się zatem tylko do wskazania najważniejszych i dotychczas mających jeszcze wartość poznawczą.

Okres bezpośredniej genezy niepodległości omawiali Jerzy Holzer i Jan Molenda w książce "Polska w pierwszej wojnie światowej" /1963/. Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski napisali pierwszy "Zarys historii gospodarczej Polski 1918-1939" /1962/

Andrzej Ajnenkiel opublikował próbę syntetycznego ujęcia pierwszych lat istnienia II Rzeczypospolitej: "Od rządów ludowych do przewrotu majowego" /1964/. Węższy zakres tematyczny miały: Henryka Jabłońskiego - "Polityka PPS w czasie wojny 1914-1918" /1958/, Jerzego Holzera - "PPS w latach 1917-1919" /1962/, Artura Leinwanda - "PPS wobec wojny polsko-rodzieckiej 1919-1920" /1964/, Antoniego Czubińskiego - "Centrolew" /1963/, Stanisława Lato - "Ruch ludowy a Centrolew" /1965/, Józefa Kowala - "Wici" /1964/, Janusza Żarnowackiego - "Struktura społeczna inteligencji w Polsce w latach 1918-1939" /1964/, tegoż "PPS w latach 1935-1939" /1965/, Alicji Więzikowej - "Stronnictwo Chłopskie 1926-1931" /1963/, Marii Turlejskiej - "Rok przed klęską" /1962/, Tadeusza Jędruszczyka - "Piłsudczycy bez Piłsudskiego" /1963/, Romana Wapińskiego - "Endecja na Pomorzu 1918-1939" /1966/, Ludwika Hassa - "Organizacje zawodowe w Polsce 1918-1939" /1963/, Józefa Kowalskiego - "Trudne lata" /1966/, Mariana M. Drozdowskiego - "Polityka gospodarza rządu polskiego 1936-1939" /1963/, Jerzego Ciepielewskiego - "Polityka agrarna rządu polskiego w latach 1929-1935" /1968/.

Ponadto w cytowanych periodykach opublikowano kilkadziesiąt istotnych artykułów i materiałów źródłowych. Fundamentalne, bo starające się przedstawić kwestie gospodarcze, społeczne i pośrednio polityczne, było dzieło Mieczysława Mieszczankowskiego - "Struktura agrarna Polski międzywojennej" /1960/. Tak jak wiele wspomnianych tu monografii, praca Mieszczankowskiego nie trafiła wnioskami w sedno sprawy, była jednak cenna przez przytoczenie obszernego materiału rzeczowego. Szczególne znaczenie przywiązywano w owym czasie do książki Henryka Jabłońskiego - "Narodziny II Rzeczypospolitej" /1962/. Przedstawiając wiele faktów dotychczas mało znanych, była ona we wnioskach chybiona. Emocjonalne nastawienie autora było typowe dla minionego okresu. Wraz z pojawieniem się nowych opracowań książka Jabłońskiego się zdezaktualizowała. Spośród większych prac tego autora wartość merytoryczną zachowuje "Polityka PPS w latach wojny...", nie ze względu na wnioski, ale z racji prezentowanego materiału faktograficznego i węższych interpretacji.

W niniejszych rozważaniach świadomie pomijałem dotychczas problem cenzury. Zmiana spojrzenia na okres międzywojenny wynikała bowiem nie tyle z ingerencji cenzuralnych, co z własnych przemyśleń historyków. Jeśli dochodzili do oryginalnych, samo-

dzielnych wniosków, umieli je mimo cenzury przekazać czytelnikom, rzecz jasna inteligentnemu i nieco odczytanemu w literaturze. Istniały wszakże tematy, których cenzura nie pozwalała poruszać w sposób samodzielny. Dotyczyły to przede wszystkim historii Komunistycznej Partii Polski oraz stosunków międzynarodowych w okresie międzywojennym /w tym stosunków polsko-radzieckich, wojny polsko-radzieckiej i polskiej polityki zagranicznej w ogóle/. Mimo tych nacisków sensownych nie ma żadnej wartości poznawczą mają książki T. Jędruszczyka - "Polityka Polski w sprawie Górnego Śląska 1918-1922" /1958/, Jerzego Krasuskiego - "Stosunki polsko-niemieckie 1919-1926" /1962/, tegoż "Stosunki polsko-niemieckie 1926-1932" /1964/, Mariana Wojciechowskiego - "Stosunki polsko-niemieckie 1933-1938" /1965/ oraz Jana Ciałowicza - "Polsko-francuski sojusz wojskowy 1921-1939" /1970/. Sporo interesujących dokumentów i przyczynków opublikowano w serii wydawniczej "Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich" oraz "Z dziejów stosunków polsko-radzieckich".

x x x

Rok 1968 przyniósł burzliwe wydarzenia w Polsce: Marzec, antysemitką kampanię prasową, czyszczenie w partii. Frakcja moczaryzmska stojąc na czele partyjnych trzydziestolatków gromiła rewizjonizm, "Syjonizm", demokratyzacyjne aspiracje młodzieży studenckiej. Przeżywały swój wielki triumf tendencje antysemitkie i antyinteligentne. Marzec doprowadził do zniszczenia wybitnego środowiska socjologów, filozofów i ekonomistów, zgrupowanych głównie na Uniwersytecie Warszawskim. Wydział Polonistyki wcześniej już podupadł wskutek polityki personalnej J. Z. Jakubowskiego. Marzec dopełnił reszty. Z pogromu 1968 r. wiele osób nie udało się ocalić poziomu przedmarcowego. Bez poważniejszych strat przetrwało natomiast środowisko historyków. Nis poniósł większych strat Wydział Historii UW ani Instytut Historii PAN. Rozbito jedynie historię na WAP, als usunięci stąd historycy przeszli przeważnie do PAN. Wyświetlenie kulis tego "oudownego ocalenia" wymaga przeprowadzenia osobnych, trudnych badań. Niewątpliwie łagodne przejście marcowego walca po środowisku historycznym zdecydowało o osiągnięciach nauki historycznej w latach 70-tych.

Ofensywa moczaryzmu w 1968 r. doprowadziła do zmiadżdżenia resztek frakcji pułkarskiej. Niemal wszyscy weterani KPP zostali pozbawiani swych stanowisk, przechodząc w zacisze życia prywat-

nego /oznaczało to upadek znaczenia politycznego historyków wywodzących się z KPP/. Propaganda "marca" oparta na skrajnie prawicowych wzorach, zadała cios śmiertelny serio traktowanej ideologii marksistowskiej. Nowi rządy Polski okazali się nieczuli na marksistowskie formuły, przywoływali je wtedy tylko, gdy uzasadniali sprawowanie przez siebie niekontrolowanej władzy. obrońcy pojmowanych głęboko i autentycznie marksistowskich modeli myślenia stali się niemodni, a nawet śmieszni. Obecnie propagandyści partyjni zaczęli forsować formułę solidarności narodu na czele z partią. Pełny rozwój tej formuły przypada na lata rządów Gierka. Partia wycofała rychło niepotrzebną już propagandę ksenefobiczną, choć gotowa była odwołać się do marcowych wzorów w chwilach kryzysów /np. w 1977/. Zdaniem autora grudzień 1970 nie był znaczącą cezurą w formowaniu się oblicza aparatu partyjnego. Przeprowadzone wówczas zmiany personalne były konsekwencją Marca, kończyły to czego nie udało się zrobić wówczas. W 1971 Gierek rozbił kierownictwo frakcji Moczara /jedynych usuwając,

innych przeciągając na swoją stronę/. Jednakże grupa kilkuset funkcjonariuszy partyjnych rządzących Polską Gierka w większości sympatyzowała kiedyś z Moczarem i dzięki związkowi z jego frakcją osiągnęła stanowiska partyjne i państwowe. Bliższy ideologicznie od marksizmu jest im swoiście pojęty nacjonalizm, wyrażający się unikiem państwa przez nich rządzonego. Uważają się za elitę Polski, jej właścicieli; uważają, że tylko oni mają prawo stanowić o jej teraźniejszości i przyszłości.

Nie będąc przekonanymi marksistami nie narzucają modelu rozwoju kultury w jakimś konkretnym kształcie ideologicznym. Wypracowali jedynie obszerny kodeks tego, czego nie wolno. Zakazano krytykowania tradycji komunizmu, systemu władzy, Związku Radzieckiego, podnoszenia zasług aktualnych konkurentów ideologicznych /np. Kościuska/, wspomniania w kontekście pozytywnym pewnych ludzi. Partia sparaliżowała wszelkie publicystyczne czy naukowe inicjatywy usiłujące wyrwać jej monopol na formułowanie diagnoz społecznych, czy wizji przyszłościowych. Narzekają na to ekonomiści czy socjologowie. Problem ten nie dotyczy jednak historyków. Na poszerzenie możliwości ich wypowiedzi wpływało również znaczne już oddalenie okresu przedwojennego. Polska międzywojenna stawała się zaczynała przeszłością na tyle już odległą, że niegroźną. Powoli wypadała z zakresu bezpośredniego

działania propagandy. Zachowano jednak pewne mechanizmy, które utrudnić miały budowanie pozytywnego jej obrazu w świadomości przeciętnego obywatela /programy szkolne, treści historyczne w propagandzie radiowo-telewizyjnej, prasowej/. Historykom pozostawiono wszakże znaczną autonomię w zakresie ich pracy, wynikającą zapewne z tzw. "pragmatyzmu" ekipy Gierka i braku jej zainteresowania dla badań naukowych nie mających bezpośredniego znaczenia dla gospodarki i zarządzania państwem.

x x x

W 1968 roku przypadała 50 rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Korzystając z rewolucji wewnętrznej w aparacie ideologicznym i propagandowym zorganizowano dyskusję w "Miesięczniku Literackim" /numer czerwcowy/ poświęconą roli Drugiej Rzeczypospolitej w formowaniu narodu polskiego. Dyskusja ta, którą wielu uważa za przełom w spojrzeniu polskiej historiografii na Polskę niepodległą zorganizowana była przez ludzi sympatyzujących z frakcją moczarską m.in. Czesława Madejczyka i Tadeusza Jędruszczyka. Ten drugi mówił z pewną przesadą: "Obecnie możemy mówić o występowaniu w Polsce dwóch tendencji w poglądach na okres międzywojenny: tendencji racjonalnie krytycznej, nazwijmy ją umownie - optymistycznej oraz tendencji całkowitej negacji - pesymistycznej. Pierwsza jest zjawiskiem związanym z rozwojem nauki, z racjonalizacją stanowiska w tej sprawie, druga zaś jest kontynuacją dawnej postawy, swego rodzaju nihilizmu. Krańcowym przejawem tej drugiej jest teza, że dwudziestolecie 1918-1939 było w dziejach narodu polskiego okresem zasługującym tylko na negatywną ocenę; rozwijając logicznie tę tezę - powstanie niepodległej Polski w 1918 roku było wydarzeniem niekorzystnym." Oprócz Jędruszczyka pozytywną funkcję państwa międzywojennego podkreślali J.Żarnowski, A.Ajnenkiel, M.M.Drozdowski, W.Stankiewicz, a także Juliusz Bardach, Bogusław Leśnodorski i Feliks Tych. Rolę antagonisty, aczkolwiek mało agresywnego spełnił Leon Grosfeld, który pojednawczo polemizował wskazując na klasowy charakter każdego państwa. Aby bardziej skomplikować obraz rzutujących na podziały naukowe kontrowersji politycznych, przypomnę, że najostrejszy atak na dyskutantów przypuścił z pozycji ortodoksyjnie leninowskich Jarosław Ładosz. Był on propagandystą ze szczególną pasją kopiącym w Marcu Leszka Kożakowskiego. Ładosz zarzucał dyskutującym historykom rewizjonizm /"Miesięcznik Literacki" - wrzesień 1968/.

Od 1968 roku w nauce historycznej metodologia marksistowska zdecydowanie ustępuje miejsca lub jest kompilowana z pozytywistycznym wzorem pisania o przeszłości. Historycy unikają bezustannego powtarzania ocen klasowych. Często w przedmowie składają konieczną /na ogół nie-irytującą/ daninę ideologiczną, po czym przechodzą do analizy faktów. Środowisko historyków, wzbogacone o nowe pokolenie, kończące studia na przełomie lat 60-tych i 70-tych, pasjonują obecnie problemy życia politycznego, rzadziej sprawy gospodarze czy społeczne. Coraz mniej prac powstaje na temat ruchu robotniczego. Już studenci unikają pisania na ten temat /nie tylko o ruchu komunistycznym, ale także socjalistycznym/. W latach 70-tych niemal monopolistą w zakresie monografii dotyczących ruchu robotniczego stała się Wyższa Szkoła Nauk Społecznych przy KC PZPR. Ale nawet w tej szkole powstało szereg prac dobrych, odkrywczych, porównywalnych z powstającymi w bardziej niezależnych placówkach naukowych. /Niewątpliwym osiągnięciem skupionego tu zespołu jest przystąpienie w 1975 do wydawania serii dokumentów pt. "Archiwum Ruchu Robotniczego"/.

Ucieczka historyków od tematów dotyczących lewicy wynika zapewne z generalnego zakłamania jej oblicza przez propagandę i historiografię lat 50-tych i w znacznej części 60-tych. Ponadto w tej mierze występują szczególnie obstrzenia cenzuralne. Partia głosi, że jest spadkobierczynią ruchu komunistycznego, więc stara się by obraz przedwojennej KPP był możliwie najbliższy jej ideologii. Z tej przyczyny dotychczas nie ukazały się prace naprawdę wielostronne i dogłębnie analizujące dzieje ruchu komunistycznego w Polsce. Nie znaczy to, że nie opublikowano szeregu wartościowych przyczynków, głównie w kwartalniku "Z pola walki". Z opublikowanych ostatnio monografii cenna z uwagi na bogaty materiał faktograficzny, a także wiele interesujących ocen jest książka J. Kowalskiego - "Komunistyczna Partia Polski 1935-38" /wyd. 1975/. Warto może zaznaczyć w tym miejscu, że niektórzy historycy zaczynając swą karierę niesławnie w latach 50-tych, przeżywali później ewolucję, by stać się sprawnymi badaczami i wejść na trwałe do polskiej historiografii.

Oprócz historii ruchu komunistycznego, szczególnym restrykcjom cenzuralnym podlegają prace o ruchu socjalistycznym. Żąda się by w ostatecznej ocenie zawsze przedstawiać go jako ugrupowanie bardziej oportunistyczne od komunistów. Nie wolno pisać krytycznie o ZSRR, a nawet nie jest wskazane podawanie zbyt wielu szczegółów z życia politycznego ZSRR. Nie chodzi tu nawet o

Gułag, ale np. o składy kolejnych Biur Politycznych, daty kolektywizacji itp. Znana jest awantura, jaką urządzono Antoniemu Czubińskiemu po opublikowaniu przez niego "Kraju Rad" w 1973. Jeśli nie wolno pisać zbyt obszernie o historii ZSRR, to tym bardziej nie wolno krytykować polityki radzieckiej Rosji wobec Polski. Pochodną tego jest zakaz pozytywnej oceny polityki zagranicznej Polski międzywojennej, a nawet próba racjonalizacji tej polityki. Warto w tym momencie przypomnieć aferę z kontrowersyjną książką Leszka Moczulskiego "Wojna polska" /wydana w 1974 a następnie wycofaną ze sprzedaży i z większości bibliotek/. Zarzucono Moczulskiemu rehabilitowanie przedwojennej polityki zagranicznej i postawy kół wojskowych. Zaatakowano go również za "zły" opis przebiegu kampanii wrześniowej.

Ograniczenia cenzuralne dotyczą również historii myśli i mentalności społecznej. Nie wolno publikować analiz rzeczowych przedwojennego antykomunizmu, czy antysemityzmu. Wolno pisać natomiast o polityce ugrupowań antykomunistycznych i antysemitkich, bez wdawania się jednak w szczegóły ideologiczne i z końcową oceną krytyczną.

Wiele innych tematów nie zostało przez historiografię lat 70-tych poruszone na nowo i reinterpretowane, nie wiadomo jednak czy z przyczyn cenzuralnych, czy z braku zainteresowania autorów.

Wszystkie poczynione tu uwagi na temat zagadnień strzeżonych przez cenzurę są wysoce ukłonne. Jak wiedzą wszyscy piszący, cenzura działa w sposób często zaskakujący, raz puszcza to co zdawało się być niecenzuralne, innym razem kwestionuje tezy i fakty wielokrotnie już podawane, czy z innych powodów neutralne. W publikacjach historycznych przestrzegana jest jednak pewna prawidłowość. Najwięcej napisać można w pracy opublikowanej np. w 500 egzemplarzach, nieco mniej, gdy nakład wynosi 2000, jeszcze mniej, gdy 5000 i tak dalej. Gdy nakład przekracza 20 000 inżynierowie stają się nieznośne, choć ich zasięg również zależy od czynników szeregówkowych /m.in. tematu, naukowej i politycznej pozycji autora, jego znajomości/.

Od końca lat 60-tych opublikowano kilkadziesiąt wartościowych monografii i kilka zasługujących na uwagę syntez. Fakty prowadzące do odzyskania niepodległości przez Polskę przedstawił Janusz Pajewski - "Odbudowa państwa polskiego 1914-1918" /1978/ Janusz Żarnowski podsumował swe dotychczasowe badania nad społeczeństwem II Rzeczypospolitej w książce opublikowanej w 1973 roku. W 1971

ukazała się obszerna monografia Z. Landaua i J. Tomaszewskiego "Robotnicy przemysłowi w Polsce". Ustrojowi państwowemu poświęcone były książki: "Rządy parlamentarne w Polsce 1919-1926" Michała Pietrzaka /1969/, "Spór o model parlamentaryzmu polskiego do 1926" A. Ajnenkiela /1972/, "Geneza konstytucji z 17 marca 1921 r." Stanisława Krukowskiego /1977/. Problematykę ustrojową poruszano także w pracy zbiorowej pt. "Dyktatury w Europie środkowo-wschodniej 1918-1939" /1973/.

Najwięcej uwagi poświęcono badaniu partii politycznych. Kontynuowano studia nad Polską Partią Socjalistyczną, których wynikiem były następujące monografie: Aleksandra Tymianiecka - "Polityka PPS w latach 1924-1928" /1969/, Leon Ziaja - "PPS a polska polityka zagraniczna 1926-1939" /1974/, Bogdan Głowacki - "Polityka PPS 1929-1935" /1979/, Kazimierz Więch - "Polska Partia Socjalistyczna 1918-1921" /1978/. W 1977 Jerzy Holzer opublikował zarys pt. "PPS. Szkic dziejów", obejmujący całą historię partii. Komunistycznej Partii Polski poświęcono mniej uwagi. Z opublikowanych prac liczą się szczególnie wspomniana monografia J. Kowalskiego oraz Romany Toruńczyk - "W walce o front młodego pokolenia. KZMP w latach 1933-1936" /wyd. 1970 w 100 egz./. Kontynuowano badanie ruchu ludowego. W 1970 ukazał się t. II "Zarysu historii polskiego ruchu ludowego" obejmujący Polskę międzywojenną. Ryszard Szaflik wydał monografię poświęconą "PSL-Piast 1926-1931" /1970/, Jan Borkowski książkę "Postawa polityczna chłopów polskich w latach 1930-1935" /1970/. W 1972 r. ukazał się "Front Morges w okresie II Rzeczypospolitej" Henryka Przybylskiego, a w 1980 "Chrześcijańska Demokracja i Narodowa Partia Robotnicza" tegoż autora. Jerzy Janusz Terej opublikował w 1971 r. "Idee, mity, realia" oraz "Rzeczywistość i polityka", obie poświęcone Narodowej Demokracji. "Rzeczywistość i polityka" dotyczyła głównie wojennej historii stronnictwa, zawierała jednak obszernie wprowadzenie będące zarysem historii ruchu w latach trzydziestych/. Jedyne w formie artykułów ukazały się fragmenty książki Szymona Rudnickiego o Obozie Narodowo-Radykalnym. Andrzej Pilch wydał pracę pt. "Studencki ruch polityczny w Polsce w latach 1932-1939". Postępowały badania nad obozem sanacyjnym. W 1978 Andrzej Garliński ogłosił dwie monografie dotyczące genezy obozu rządzącego: "U źródeł obozu belwederskiego" i "Przewrót majowy". W 1977 Wiesław Władysław opublikował monografię pt. "Polityka polskich stronnictw konserwatywnych w latach 1926-1935", a w 1979 ukazała się praca Andrzeja Chojnowskiego "Koncepcje polityki

narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939". W 1969 opublikowano monografię Piotra Staweckiego "Następy Komendanta", rozszerzającą wiedzę o ostatnim etapie ewolucji obozu rządzącego /1931-1939/. W 1978 Jacek Majchrowski opublikował w nakładzie 500 egz. książkę "Czynniki jednoczące naród w myśli politycznej Obozu Zjednoczenia Narodowego", w 1979 Seweryn Ajzner wydał "Związek Związków Zawodowych 1931-1939". W 1975 wydano "Wolnomularstwo II w Rzeczypospolitej" Leona Chajna. Popularny zarys "Parlamentaryzm II w Rzeczypospolitej" ogłosił w 1975 A. Ajnenkiel. W 1970 ukazała się próba osobiściego spojrzenia na Polskę bez Piłsudskiego: Hanna i Tadeusz Jędruszcakowie - "Ostatnie lata II Rzeczypospolitej". W 1974 Jerzy Holzer opublikował "Mozaikę Polityczną Drugiej Rzeczypospolitej" przedstawiającą zarys programów i stronnictw politycznych, również mniejszości narodowych. W 1971 Andrzej Paczkowski wydał w małej poligrafii "Prasę Drugiej Rzeczypospolitej 1918-1939". W 1980 książka ukazała się w normalnym nakładzie. Pogranicza polityki i kultury dotyczą książki Andrzeja Wierzbickiego - "Naród - państwo w polskiej myśli historycznej dwudziestolecia międzywojennego" /1978/ oraz "Romantyzm a ideologia" Leszka Kamińskiego /1980/.

Co najmniej kilkanaście zasługujących na wydanie opracowań spoczywa w maszynopisach nie mogąc uzyskać pozwalającej na druk pieczętki cenzury. Wśród tych prac na szczególną uwagę zasługują: Anny Radziwiłł - "Ideologia wychowawcza sanacji i jej odbicie w polityce szkolnej w latach 1926-1939" /1966/, Jacka Majchrowskiego dwuczęściowa praca o Stronnictwie Pracy /częściowo wydana w 1979 r./ i ONR-Palandze: obszerna monografia Stronnictwa Pracy /1937-50/ pióra Waldemara Bujaka.

Nie osiągnięto imponujących rezultatów w badaniach nad mniejszościami narodowymi, choć ukazały się Stanisława Potockiego "Położenie mniejszości niemieckiej w Polsce 1918-1938" /1969/, B. Szcześniaka i W. Szoty - "Droga do nikąd. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów"... wydana w 1973, książka ta szybko została wycofana z księgarń i bibliotek i należy obecnie do wielkich rzadkości, M. Papierzyńskiej-Turek - "Mniejszość ukraińska w Polsce 1918-1939" /1979/.

Opublikowano biografie Norberta Barlickiego pióra Jana Tomickiego /1969/, Wincentego Witosza - Andrzeja Zakrzewskiego /1977/ Wojciecha Korfańtego - Mariana Orzechowskiego /1974/, Stefana Starzyńskiego - Mariana M. Drózdowskiego /1976/, Władysława Sikorskiego - Romana Wapińskiego /1978/, bardziej popularną biogra-

fię Romana Dmowskiego - Andrzeja Mieczewskiego /1971/. Niedokończona biografią Piłsudskiego są w istocie wspomniane książki A. Garlickiego.

Szereg interesujących artykułów, przyczynków, dokumentów opublikowano we wspomnianych pismach historycznych, do których przybyła w 1969 seria pt. "Warszawa II Rzeczypospolitej 1918-1939".

Minimalnie posunęły się studia nad polską polityką zagraniczną. O książce Moczulskiego była już mowa. W 1975 Stanisław Sierpowski ogłosił syntezę "Stosunki polsko-włoskie w latach 1918-1940", a w 1972 Piotr Łossowski: "Kraje bałtyckie... 1918-1934".

Wyprzedzały one do dziś nie istniejące pełne omówienia stosunków polsko-radzieckich, polsko-brytyjskich, polsko-francuskich, polsko-czechosłowackich itp. Powstały natomiast ujęcia mniej generalne, wśród których na szczególną uwagę zasługuje Adolfa Juzwenki "Polska a biała Rosja" /1973/.

Brak dotychczas poważnej monografii poświęconej Kościołowi rzymsko-katolickiemu /książka W. Myska na miano poważnej naukowej monografii nie zasługuje, choć zawiera sporo informacji rzeczowych/. Prawie nie widać o sytuacji innych kościołów /grecko-katolickiego, ewangelickiego, prawosławnego/. Wiedza o mniejszościach narodowych jest nadal fragmentaryczna /szczególnie o Żydach i Białorusinach/. Brakuje opracowań ruchu młodzieżowego, zarówno związanego z partiami politycznymi, jak i pozapartyjnego /np. harcerstwa/. Z przyczyn chyba przede wszystkim cenzuralnych nie mamy i prawdopodobnie długo mieć nie będziemy krytycznego, a zarazem rzetelnego studium modelu ideowego i polityki KPP.

"Niewiele też wciąż wiemy o świadomości politycznej społeczeństwa w interesującym nas okresie - piszą A. Garlicki, T. Nałęcz i W. Władyska - ani też o funkcjonowaniu struktur politycznych /państwo, partie polityczne/. Chodzi też o odpowiedzi na pytania dotyczące źródeł postaw politycznych, stanu kultury politycznej, horyzontów obywatelskich i światopoglądowych - traktowanych nie tylko w wymiarze partyjnym, ale i szerzej - w odniesieniu do całego społeczeństwa" /Przegląd historyczny" 3/1978/. W pewnym zakresie badania nad tą problematyką podjął zespół Henryka Zielińskiego. Pierwsze wyniki pracy zespołu znalazły odzwierciedlenie w tomikach "Polska myśl polityczna XIX i XX wieku".

Wszystkie wymienione tu braki w opracowaniach szczegółowych wpływają na kształt powstających syntez. Dotychczas powstało ich kilka. W 1968 Henryk Zieliński opublikował "Historię Polski

1864-1939" sumującą stan badań z lat 1956-1968. W 1976 próby syntezy podjął się Antoni Czubiński /w "dziejach Polski" pod red. Topolskiego/. Najobszerniejszą, a zarazem najlepszą /choć mającą braki/ syntezę ogłoszono w 1978 r. Opracowana została przez wielu autorów jako tom IV część II, III i IV /łącznie ponad 2000 stron/ "Historii Polski" przygotowywanej przez Polską Akademię Nauk /cz. I tomu IV wyszła w 1969/. Niestety, książkę wydrukowano na prawach rękopisu w 1000 egz. Trafiała przeto jedynie do bibliotek specjalistycznych. Na wolnym rynku nie była sprzedawana i nie wiadomo czy doczeka się normalnego wydania. W dwa lata później Andrzej Ajnenkiel, jeden z autorów wspomnianej syntezy opublikował obszerne dzieło "Polska po przewrocie majowym 1926-1939", będące kontynuacją "Od rządów ludowych do przewrotu majowego" /wyd. III po wielu latach przerwy w 1977/. Do rąk uprzywilejowanych czytelników trafił już "Zarys historii Polski" pod redakcją J. Tazbira. /Autorem części dotyczącej lat międzywojennych jest M.M. Drozdowski/. Problemy XX wieku zostały tu omówione w sposób pozostawiający wiele do życzenia, nawet przy uwzględnieniu obowiązujących ograniczeń cenzuralnych. Część dotycząca Polski niepodległej nie jest jeszcze najgorsza, ale nie jest też dobra.

We wspomnianych tu monografiach i syntezach zwraca uwagę brsk polaryzacji poglądów historyków. Różnią się oni sympatiami, rozłożeniem akcentów, dyskutują o interpretacji zjawisk szcze-gółowych, w ocenach generalnych są jednak zasadniczo jednomyślni. Wszyscy przyznają szczególne znaczenie II Rzeczypospolitej dla rozwoju narodu polskiego, akcentują dorobek pokolenia tworzącego Niepodległą, odrzucają twierdzenia o faszystowskim charakterze Polski pomajowej, choć jedni są bardziej pro - inni bardziej anty sanacyjni. Nie zaznaczyły się jak dotąd sympatie proendeckie, choć u wielu badaczy widać sympatie dla socjalistów, ludowców, piłsudczyków i innych działających wówczas ugrupowań. W środowisku jedynym bodaj i to bardzo agresywnym enfant terrible, jest Jan Borkowski, który zajmując skrajnie antypiłsudczykowski stanowisko, paradoksalnie łączy sympatie dla KPP z antyżydowską i anty-ukraińską ksenofobią. /Por. jego artykuły w "Trybunie Ludu", wypowiedź w "Sztandarze Młodych", napisany przezeń rozdział w cytowanej PAN-owskiej "Historii Polski"/.

Monografie szcze-gółowe, a także najlepsze syntezы wydawane są w niewielkich nakładach. Np. wspomniana książka Pajewskiego

- 3000, Holzera - "Mozaika" - 5000, Garlickiego - "U źródeł..." - 5000 /wyd. II - 5000/, Ajnenkiela /"Parlamentaryzm"... - 10 000, tegoż "Polska po przewrocie..." rzekomo 30 000/. Trudności w zdobyciu książki pozwalają wątpić, czy całość nakładu została skierowana do księgarń. Znane są przypadki przetrzymywania znacznej części nakładu nawet przez wiele lat. Oznacza to, że książka dotycząca historii dwudziestolecia jest rarytatem, wykupywanym przeważnie przez specjalistów i znawców, którzy często korzystają ze znajomości w księgarniach. Wiele książek dotyczących omawianego problemu osiąga zawrotne sumy na czarnym rynku: Pajewski - 800 zł /cena oficjalna 120/, Holzer - "Mozaika" - 500 zł /cena oficjalna 70/, Garlicki - "U źródeł..." i "Przewrót"... - po 700 i 500 zł /cena oficjalna 80 i 50 zł/. Świadczy to o zapotrzebowaniu na te książki, które rzadko doczekują się wznowień.

Przeciętny obywatel polski rzadko dociera do wymienionych prac. Jego obraz przeszłości kształtuje przede wszystkim telewizja, w stopniu mniejszym radio i codzienna prasa. Każdy młody człowiek przechodzi kurs historii w szkole, na ile tendencyjny pisał Bogdan Cywiński w "Zatrutej humanistyce". Nie widzę potrzeby powtarzania wniosków Cywińskiego. Zaznaczyć wszakże wypada, że historii najnowszej młodzież uczy się z podręcznika Romana Wapińskiego. Jako badacz jest on cenionym i rzetelnym znawcą dziejów Narodowej Demokracji, jednakże jego podręcznik oderwany jest całkowicie od stanu wiedzy fachowej. Oceny i interpretacje, którymi karmi się młodzież, dawno już porzucone zostały przez historyków. Nauczyciele rzadko kiedy ozytają monografię szczegółowe /bo nie mają czasu i trudno je kupić/, nie potrafią tedy prostować błędów podręcznika. Ponadto narzucone równoległe do podręcznika programy wyrażają tendencję często przypominającą lata 50-te. Spustoszeń zawinionych przez szkołę nie naprawia telewizja, radio, prasa, gdyż upowszechniany tam obraz dziejów jest tak oderwany od rzeczywistości, że trudno go uważać za popularyzację wiedzy. W latach 70-tych poziom publicystyki historycznej znacznie się obniżył. Problemy Polski niepodległej rzadko pojawiają się na łamach takich pism jak "Kultura", "Literatura", "Polityka", dział historyczny "Perspektyw" utrzymany jest na niskim, sensacyjnym poziomie. Sytuacja ta wynika również z przyczyn obiektywnych. Wobec pojawiania się znacznej liczby opracowań naukowych, publicystyka nie znajduje możliwości budowania śmiałych tez, odkrywających sądów. Staje się coraz bardziej popularyzacyjną, a ta rola jest mniej atrakcyjną.

Ponadto okres międzywojenny przechodzi do przeszłości zamierzohłej. Nie wzbudza już wielkich kontrowersji i sporów, przestaje się liczyć w grze politycznej. Do aktywnego życia wchodzą roczniki Polaków, których rodzice nie pamiętają już z autopsji Polski niepodległej. Jej dzieje przestają być zatem dla coraz większej części obywateli historią najnowszą.

Duch krucjaty i duch wolności

"Na Zachodzie Europy symbolem postępowości jest zwalozanie własnego rządu - oto bezmyślne, mechaniczne dziedzictwo po XIX-wiecznych przyzwyczajeniach marksistowskich". "Kadłubowa, leoz dufna w swą materialną potęgę /a także zaprzętnięta wewnętrznymi sporami o baranię i buraki/ Europa Zachodnia, kłeskami Ameryki nie przejmuje się nadmiernie - lekkożyślnie nie uważa ich za swoje." "By wygrać walkę o wolność świata, trzeba chwilowo ograniczyć własną wolność, tak w dziedzinie poszczególnych narodowych autonomii i egoizmów, jak w tradycyjnych zdobyczach wolnego rynku, konkurencyjności koncernów i przedsiębiorstw, gier giełdowych, aparatu informacji niezależnego od nadrzędnego interesu zbiorowości i to zbiorowości ponadnarodowej. W okolicznościach wyjątkowych trzeba wszakże i u siebie wprowadzić stan wyjątkowy."

Oto kilka cytatów z ostatnio opublikowanej^x rozprawy Stefana Kisielewskiego, ducha wolnego, liberała i ostrożnego pesymisty. Niepokój Kisielewskiego o niską temperaturę życia duchowego na Zachodzie jest uzasadniony, a teza, że Zachód wyzbyty własnych idei filozoficzno-duchowych nie spręsta marksistowskiemu Wschodowi i nacjonalistyczno-religijnemu Trzeciemu Światu, jest niewątpliwie trafna. A jednak: krytyka Zachodu przeprowadzana przez Kisielewskiego stanowi dobry przykład zjawiska, które można nazwać "polskim zniewoleniem umysłowym". Zresztą nie tylko polskim, przecież argumenty Solżenicyna brzmią bardzo podobnie.

Złudna mianowicie jest nadzieja /i postulat/, że idee, ideologie, duchowość rozwijają się lub powinny się rozwijać odpowiednio do wymagań aktualnej sytuacji politycznej, i to wymagań określonych przez nas, ludzi żyjących poza światem Zachodnim. Złudne są te wciąż powracające porównania z wyprawami krzyżowymi i apels o "ducha krucjaty". Złudzeniem jest także - tak dobrze w innej sferze znana i za chybioną uznana - nadzieja na to, że Zachód podejmie pracę nad stworzeniem kultury i duchowości zaangażowanej, choćby miało to być zaangażowanie w walkę o świat.

x "Walka oświat" Wyd.im. Konstytucji 3 maja, 1980

Taki typ krytyki Zachodu powracał w osłej dziewiętnastowiecznej historii polskiej myśli. Najbardziej światli i znający świat polscy pisarze, jak Zygmunt Krasiński czy Julian Klaczko wygłaszali anty-zachodnie filipiki, wieścili upadek Europy, która nie chce zdać sobie sprawy z zagrożenia, jakie stanowi Rosja, nie potrafi przeprowadzić pełnej mobilizacji ducha, tylko egoistycznie i samobójczo poprzestaje na sporach społecznych oraz na cieszeniu się materialnym dobrobytem. Europa rzeczywiście zaparzenia rosyjskiego nigdy do końca nie pojęła, lecz przez półtora wieku rozwijała się wspaniale zarówno pod względem cywilizacyjnym, jak i społeczno-ustrojowym. I przez te same półtora wieku Polacy trwali przy swojej prowincjonalnej kazuistyce.

Polacy nieustannie pragnęli wytkumaczyć Europie, Zachodowi, żeby interesował się nie sobą, lecz potencjalnym zagrożeniem zewnętrznym, żeby walczył nie o wolność własnych obywateli i własnych społeczeństw, wolność prawną i wolność od nędzy, wolność handlu i wolność słowa, lecz o władzę nad światem, żeby ograniczył postępy demokracji społecznej i ustrojowej na rzecz mobilizacji wszystkich sił i jedność w walce ze Wschodem. Czasem im się udawało, czasem Zachód - nie dlatego zresztą, że interesowano się tam poglądami Polaków - decydował się na przyjęcie postawy negacji, negatywnego zaangażowania. Zimna Wojna to właśnie przykład przyjęcia takiej postawy.

W zakresie polityki międzynarodowej Zimna Wojna nie przyniosła Zachodowi żadnych sukcesów terytorialnych: półowa Korei przypadła ostatecznie, przewaga militarna nad Związkiem Radzieckim nie została wykorzystana, powstało NRD i Berlin uległ trwałemu podziałowi. W zakresie ideowo-duchowym udało się przede wszystkim popchnąć do komunizmu i marksizmu znaczną część zachodnich intelektualistów, którzy zapewne i bez Zimnej Wojny ulegliby fascynacji stalinizmem, ale presja zaangażowanych w Zimną Wojnę rządów zachodnich dodawała tej fascynacji pozorów bohaterstwa. Fascynacja minęła nie wskutek Zimnej Wojny czy macartyzmu, lecz w konsekwencji osłabienia ideologii po 1956 roku. Tak oto jedynym ideowym tworem Zimnej Wojny był antykomunizm, zapewne skuteczny jako terapia wstrząsowa po okresie przesłuszonych stosunków ze Związkiem Radzieckim w drugim okresie wojny, ale jałowy intelektualnie, bo nie prowadzący nawet do poznania natury systemu komunistycznego.

Wypowiadania zimnej wojny dowodzą, że z socjotechnicznego punktu widzenia, nie wspominając już o moralnym, taktyka zimnowojenna, innymi słowy: taktyka mobilizowania przeciwno wrogowi ideowemu, jest mało skuteczna w społeczeństwach demokratycznych. Żeby prowadzić krucjatę, trzeba wywołać "ducha krucjaty", ten zaś nie wyłania się z powod racjonalnych, z najsensowniejszych nawet założeń taktycznych, lecz wodzi się tylko i wyłącznie w rezultacie zmobilizowania emocji społecznych, społecznej, masowej wrogości. Zaś taka mobilizacja do wrogości musi być połączona z licznymi dla każdego społeczeństwa, w szczególności dla społeczeństwa demokratycznego, negatywnymi skutkami. Jeśli krucjata, to silna władza, jeśli silna władza, to skomplikowany i delikatny mechanizm demokracji musi ulec zastąpieniu przez inny, prowadzący nieuchronnie do zniszczenia demokracji. Pytanie, które należy sobie postawić, znów nie ma charakteru moralistycznego, lecz praktyczny: czy odejście od demokracji /gdyby nawet było możliwe/ zwiększyłoby czy zmniejszyło na dłuższą metę zdolność cporu społeczeństw zachodnich wobec radzieckich zakusów? I pytanie następne: czy skoncentrowanie rozwoju kultury zachodniej wokół kwestii zagrożenia ze strony komunizmu wpłynęłoby pozytywnie na tę kulturę, czy nie nastąpiłoby zastąpienie jakości wynikającej obecnie z nadmiaru wolności jakością wynikającą z przymusu, ze smutnej jednostronności?

Adresatami apeli o wytworzenie "ducha krucjaty" są prócz polityków intelektualisci. Intelektualisci jednak nie lubią jakichkolwiek apeli i nie są skłonni dawać im posłuch, a ponadto inetynkownie lub z doświadczenia wiedzą, że w takich postawach i ideologiach nie ma dla nich nic atrakcyjnego, nic pobudzającego, żadnej strawy dla ducha. Kiedy zaś ideologię taką lansować poczynają władze państwowe, wówczas niechęć intelektualistów jest zagwarantowana. Jesteśmy świadkami licznych poza tym nieporozumień, które najłatwiej dostrzec na przykładzie Sołżenicyna. Sołżenicyn występuje ze stanowiska rosyjskiego patrioty i głęboko wierzącego chrześcijanina, natomiast dla większości jego zachodnich czytelników, którzy nie podzielają tej dwójstronnej motywacji, wezwanie do walki z wpływami komunizmu i Związku Radzieckiego, jako do walki świętej, walki o własne dusze, walki najważniejszej staje się apelem pusto brzmiącym. Dla Sołżenicyna walka z systemem komunistycznym jest niezbędna ze względu na rozwój społeczeństwa i duchowości rosyjskiej. Dla jego za-

chodnich odbiorców bynajmniej nie jest ona niezbędna, rozwój ich duchowości od niej nie zależy, a co najwyżej może ona spowodować dla owej duchowości konsekwencje negatywne, ograniczyć jej nieskrępowany rozwój.

Można więc powiedzieć tyle: wywołanie "ducha krucjaty", stworzenie ideologii stanu wyjątkowego okazuje się w społeczeństwach demokratycznych po pierwsze bardzo trudne, po drugie skutki pożądanego cwyoh ideologii stanu wyjątkowego są mizerne, zaś skutki niezamierzone - poważne i niebezpieczne. Zastanówmy się teraz na czym polega podstawowy błąd takich apeli, takiego typu myślenia, co zatem jest istotą polskiej prowincjonalnej kazuistyki?

X X X X X

Wszystko się zaczyna, tak jak się zaczynało od dwustu lat, od błędnego postrzegania zależności i związków między sferą polityki a sferą kultury i duchowości.

Polityka przez stulecia była ważnym tematem twórczości artystycznej i rozważań intelektualnych, ale decyzje i zagrożenia o charakterze politycznym, jeśli nawet ekłaniały artystów i intelektualistów do doraźnych wysiłków, to rezultaty tych wysiłków były przeciętne, a najczęściej mizerne. Jest to zresztą obserwacja oczywista dla mieszkańców Zachodu. Mniej oczywista natomiast dla Polaków, ponieważ w ciągu ostatnich dwustu lat politykę w Polsce tylko z trudem dawało się odróżnić od działalności artystycznej i intelektualnej. Jeśli - według znanego sformułowania Pawła Hertzga - Mickiewicz, Słowacki i Krasiński zastępowali w Polsce nieistniejący parlament, jeśli kategorię czysto polityczną jak: geopolityka, racja stanu, równowaga sił czy idea państwa zastępowano emocjonalnymi i moralistycznymi, jeśli patriotyzm i spory o to, jak najlepiej działać na rzecz wolności narodowej zarówno w XIX wieku, jak i współcześnie, przeważały, niemal unieważniały spory o kształt demokracji, o sprawy społeczne i ustrojowe, to nic dziwnego, że odrębność i specyficzność sfery polityki musiała się gubić. Jednak także w Polsce nie polityka, lecz patriotyzm i emocje związane z cierpieniami jednostek i narodu pobudzały wyobraźnię artystów, skłaniały myślicieli do anucia przedziwnych często wizji pożądanego świata, w którym nie będzie miejsca na takie opresje. Błądzili wszelako i błądzą nadal ci polscy publicyści, którzy podobnych emocji, analogicznych rozrządów wyobraźni i fantazji umysłu oczekują od tych polityków,

ideologów i artystów świata zachodniego, których sytuacja osobista i narodowa jest całkowicie odmienna.

Polityka w Polsce w XIX i XX wieku graniczyła zatem zarówno ze sztuką i filozofią, jak i z moralistyką i eschatologią nawet, bowiem chodziło często o problemy ostateczne, o samą niepodległość a nie o jej formę. W świecie zachodnim, w którym kwestia niepodległości nigdy się w tym stopniu nie pojawiła, polityka była wyraźnie oddzielona od innych dziedzin ludzkiej aktywności. Rozdział ten był zakłócany jedynie przez ideologię, jedynie polityka ideologiczna wymagała od kultury aktywnego poparcia. Ale też polityka ideologiczna bynajmniej nie była polityką europejskich rządów w XIX i XX wieku w krajach, które w mniejszym lub większym stopniu można określić mianem demokratycznych.

Polityka ideologiczna, to znaczy poszukująca uzasadnienia w zamkniętych systemach ideowych, była uprawiana od czasu Rewolucji Francuskiej przez grupy rewolucyjne, przez partie socjalistyczne, potem komunistyczne i nacjonalistyczne, które przyciągały artystów i intelektualistów.

"Rewolucja Francuska skończyła się"¹⁴ - tak brzmi tytuł eseju francuskiego historyka Francis Puret, który proponuje, by uznać za zakończony okres w dziejach charakteryzujący się tym, że świat polityki ideologicznej był postrzegany i opisywany w kategoriach powstałych w okresie Rewolucji Francuskiej. Cała frazeologia ideologiczna /zarówno socjalistyczna i konserwatywna, liberalna i komunistyczna, a także nacjonalistyczna/ wywodzi się z owych dziesięciu lat między 1789 a 1799. Frazeologia ta długo panowała nad rzeczywistością, przez filtr Rewolucji Francuskiej oglądaliśmy świat polityki i życia społecznego. Jednak wraz ze zmniejszeniem atrakcyjności marksizmu należy definitywnie uznać, że kategorie te nie przylegają już do rzeczywistości, bowiem marksizm był ostatnim pogrobowcem Rewolucji. Jeżeli wreszcie "skończyła się Rewolucja Francuska", to znaczy, że skończyła się epoka polityki ideologicznej. A z nią panów nie uległ rozluźnieniu związek polityki z kulturą. To znaczy, że polityka demokratyczna i nieideologiczna nie poszukuje i nie wymaga poparcia i współpracy kultury duchowej, zaś dla kultury nie bywa przedmiotem fascynacji tak jak bywała polityka ideologiczna.

Katolicyzm sama polityka potrzebowała od wielu stuleci kultury i czepiała się ze sfery kultury duchowej. Były to najprymitywniejsze i najbardziej religijne, potem ideologiczne. Epoka

ustrojów i społeczeństw demokratycznych musiał jednak - jak przewidywał to Tocqueville, a wieścił może nieco przedwcześnie, lecz w sumie trafnie Daniel Bell - doprowadzić do "końca wieku ideologii", a zatem do tego także, że polityka rezygnuje z odwoływania się do motywacji "mocnych", do argumentów z zakresu kultury duchowej. W społeczeństwach demokratycznych, a w każdym razie w takich społeczeństwach, w których upowszechniła się nie tylko demokracja ustrojowa i prawna, ale także mentalność demokratyczna, ideologie zamknięte, całościowe są głoszone przez nie liczących tylko, są nieatrakcyjne. Podobnie nieatrakcyjną jest polityka państwowa, bowiem władza wykonawcza, państwo pełnią rzeczywiście - jak o tym marzyli dziewiętnastowieczni liberałowie - funkcję stróża nocnego. Demokracja państwowa została już w pełni, na ludzką miarę, zrealizowana, dalszy rozwój odbywa się na poziomie demokracji społecznej. I w tę stronę zwrócone są oczy ludzi czynnych i ludzi myślących.

Nieprawdą jest, że pasjonują ich przede wszystkim i wyłącznie buraki i baranina, pasjonują ich problemy życia lokalnego, dalszy rozwój wolności jednostki, jej uczestniczenia w podejmowaniu mających dla niej bezpośrednio znaczenie decyzji gospodarczych i społecznych. Tendencja ta czasem rzeczywiście wiąże się z lekceważeniem, z negowaniem nawet władzy państwowej, ale też jakże często władza ta wydaje się jedynie zbędnym kwiatkiem do kożucha, bądź nawet szkodliw^o "narośli" na zdrowych mechanizmach życia społecznego. Alain Besançon przenikliwie opisał taką właśnie sytuację w Stanach Zjednoczonych. Dlaczego w Ameryce - zapytał - kandydaci na urząd prezydenta są tak miernymi ludźmi, skąd ten, wydawałoby się, kryzys władzy wykonawczej? Przecież społeczeństwo demokratyczne funkcjonuje w Stanach Zjednoczonych znakomicie. Właśnie dlatego - odpowiedział, dlatego, ^{że} obywatele amerykańscy są bardzo żywo zainteresowani problemami, które ich bezpośrednio obciążają: swoją wolnością, wolnością własnej działalności gospodarczej i społecznej, a także podobną wolnością innych, wreszcie własnym życiem duchowym i religijnym, natomiast problemy ogólnopaństwowej władzy wykonawczej po prostu ich bezpośrednio nie dotyczą.

Dla tych więc, którzy współtworzą w naszych czasach kulturę duchową społeczeństw demokratycznych, polityka jest wyjątkowo mało atrakcyjna, polityka państwowa, czy resztki polityki ideologicznej. Nie oznacza to jednak, że nie interesują

się oni problemami moralno-społecznymi, ani że zainteresowanie to jest pozbawione głębszych, filozoficzno-duchowych motywacji. Istnieje bez wątpienia taki nowy kształt duchowości, na który składają się i pozostałości ruchu kontrkultury, i rozkwitające pasje demokracji lokalnej i samorządowości, i ożywienie religijności w rozmaitych jej postaciach, i zaciekawienie lasem i wysiłkami wschodnio-europejskich opozycjonistów, i zjawiska z zakresu nowego teatru i nowej sztuki w ogóle. Nie można określić tego nowego kształtu duchowości jednym wyraźnym mianem, nie jest to bowiem ani ideologia, ani system filozoficzny, ani też nie jest to jeszcze nowa, wyraźnie odmienna epoka w dziejach kultury. Najwybitniejszą cechą czy raczej treścią tego nowego kształtu duchowości jest dokonanie kroku naprzód w realizacji wolności jednostki, tym razem już nie wolności prawnej, ekonomicznej czy społecznej, lecz właśnie wolności duchowej. Jest to krok naprzód w rozpoczętym w antycznych czasach i kontynuowanym przez chrześcijaństwo i ideologie czasów nowożytnych rozwoju osoby.

Taki kierunek filozoficzno-duchowego rozwoju nie sprzyja naturalnie powstawaniu "moonych" ideologii negatywnych, pobudzeniu "ducha krucjaty". Można jednak sądzić, że taki kierunek rozwoju sprzyja uwrażliwieniu na zło, na niesprawiedliwość wszelkiego rodzaju, na ograniczanie praw człowieka. I można mieć nadzieję, że obecne w nowej duchowości ewangeliczne formy uniwersalizmu będą pomocne w przełamywaniu oraz zresztą słabszych barier stwarzanych przez interes narodowy czy ekonomiczny, że ludzie Zachodu będą skłonni walczyć ze złem, totalitaryzmem i niesprawiedliwością w innych krajach świata, nie w obronie własnych interesów, lecz powodowani taką nową filozofią ducha. I dopiero wtedy walka ta może okazać się skuteczna, będzie bowiem wynikała z idei pozytywnej, będzie bezpośrednią konsekwencją rozważań dotyczących problemów, które rzeczywiście i głęboko ludzi Zachodu obchodzą.

Jeśli jednak wizja ta okaże się prawdziwa /a przecież taki kierunek rozwoju duchowości zachodniej jest już dzisiaj widoczny, trudno tylko mieć pewność, czy przeważy on nad wąskim pojmowaniem narodowych i ekonomicznych interesów/, to i tak bez odpowiedzi

postawione zostało pytanie być może najważniejsze: czy jest, czy będzie dość czasu na taki rozwój? Czy zagrożenie Zachodu nie jest tak poważne, że rozwój osoby, ewangelizacja i uniwersalizm powinny jednak ustąpić miejsca "duchowi krucjaty"? Czy nie powinniśmy zatem, mimo że na Zachodzie nie bardzo chętnie nas słuchają, usilnie powtarzać jak Kisielewski i jak Sołżenicyn, wołać wielkim głosem: *tatujcie się, bijcie się, bo tu idzie o wolność waszą i naszą?*

Otóż sądzę, że nie. Po pierwsze, dlatego, że - co usiłowałem wykazać - apele wzywające do powstania ideologii negatywnej są nieskuteczne, a gdyby były nawet skuteczne, to ideologie negatywne jako takie są nieskuteczne, a nawet szkodliwe dla głoszących je społeczeństw. I po drugie, ponieważ przekonanie o zagrożeniu Zachodu jest oparte na błędnej diagnozie, wedle której nieobecność krucjatowego heroizmu miałaby równać się upadkowi kultury zachodniej. Kto spojrzy na kraje Zachodu spokojnym wzrokiem, ten musi uznać, że mimo kryzysy i niepokoje, życie społeczne, gospodarcze i kulturalne rozwija się tam niezgorzej, a kto głębiej będzie szukał heroizmu, ten znajdzie w nowym kształcie duchowości nowe jego manifestacje. Dodajmy jednak, że może się tak zdarzyć, że zabraknie czasu na to, by ów nowy kształt duchowości w pełni się rozwinął i wówczas można mieć tylko nadzieję, że według sławnych słów Tocqueville'a demokracje wolno decydują się na podjęcie wojny obronnej, ale, kiedy raz już się zdecydują, wówczas siły i zasoby wolnych społeczeństw zawsze okazują się przemożne.

Kłopoty z Sołżenicynem

Napisał niegdyś Norwid, że Polacy "nie potrafią się pięknie r ó ż n i ć". Cóż jednak powiedzieć o Rosjanach?! Cokolwiek można pomyśleć o toczącej się od paru lat polemice wokół "przeklętych problemów" liberalizmu, komunizmu, nacjonalizmu, polemice skupionej na wypowiedziach Sołżenicyna, to z pewnością nie jest to polemika prowadzona po rycersku. Opcenoci nie stronią od demagogii, obrzucają się inwektywami, wmawiają sobie wzajemnie poglądy, których nie głosili. Referując ostatnie, najciekawsze głosy tej dyskusji starałem się pominąć polemiczne zaciętrzewienie i wyłuskać jedynie racjonalne argumenty, nie sposób jednak nie wspomnieć o stylu tych wypowiedzi. Czytając Sołżenicyna uderza nas przede wszystkim kategorięczny i podniosły ton starotestamentowego proroka, który dotyka spraw zasadniczych dla losów ludzkości, spraw, o których wolelibyśmy na co dzień zapomnieć. Wydaje się, że na przykład Zinowiewa razi właśnie brak poczucia humoru i patos tej retoryki /patrz karykatura Sołżenicyna w "Przepastnych wyżynach"/. Dwa tak różne temperamenty nigdy nie mogą być ze sobą zgodne. Jeżeli Sołżenicyn jest św. Pawłem współczesności, to Zinowiew jest jej Juwenalem. Etkind i Janow reagują alergicznie na wszelkie przejawy nacjonalizmu. Siniawski /redaktor pisma "Syntaxis", które Zinowiewa, Janowa i Etkinda często drukuje/ jest bardziej spokojny i jemu jednak trudno utrzymać równowagę obiektywnego obserwatora.

Zaraz po wyrzuceniu z ZSRR Sołżenicyn był tematem tabu w środowiskach tzw. "trzeciej emigracji" rosyjskiej. Nikt chyba bardziej od niego nie przyczynił się do uświadomienia sobie przez Zachód okrucieństw Archipelagu GULag. Początkowo reakcja europejskich i amerykańskich kół lewicowych była niedowierzająca: Sołżenicyn, twierdzone, jest skrajnym reakcjonistą, apologetą średniowiecza, wrogiem postępu, a więc na pewno wyolbrzymia fakty, ustawia je w tendencyjnym świetle lub wręcz kłamie. Emigranci rosyjscy nie mogli więc dyskutować z autorem "Archipelagu",

gdyż podważałoby to wiarygodność przekazu. Z czasem Zachód lepiej lub gorzej przyswoił sobie historyczną lekcję. Dziś rzadko kwestionuje fakt, że suma informacji o ZSRR zawarta w jego dziełach jest prawdziwa. Dyskusja toczy się na innym planie i dotyczy innych problemów. Z grubsza można powiedzieć, że polemika polaryzuje przeciwników ideowych według starego schematu słowianofili i "zapadników".

Aleksander Janow wykłada obecnie na uniwersytetach amerykańskich. W niedawno opublikowanej książce "Nowa prawica rosyjska, ideologie prawicowe w dzisiejszym ZSRR" /"The Russian New Right, Right Wing Ideologies in the Contemporary USSR", Berkeley, 1978/ Janow traktuje odradzanie się nacjonalizmu w Związku Radzieckim jako bardzo poważne zagrożenie. Skłonny jest nie dostrzegać nic poza najgorszymi, czarnoseciowymi tradycjami. Jako typowy przykład analizuje publicystykę Genadija Szymanowa /patrz "Aneks" nr 22/. Tak jak w XIX wieku Katkow był, zdaniem Janowa, legiozną konsekwencją myśli Aksakowa, tak dzisiaj Szymanow i jemu podobni są naturalnymi "dziećmi Sołżenicyna". Janow widzi nacjonalizm zarówno w kręgach dysydenckich jak i partyjnych i to na najwyższym szczeblu, wśród wojskowych "jastrzębi". Zachodzi uzasadniona obawa, że w obliczu krachu ideologii leninowskiej nacjonalistyczne kręgi dysydenckie i partyjne złączą się w Nową Prawicę, wielkoruski patriotyzm stanie się dużo lepszym, niż komunizm, alibi dla władzy. Już teraz zresztą widać, że breżniewowski internacjonalizm jest tylko maską dla tradycyjnego, rosyjskiego imperializmu. Z czasem maska opadnie a nagi nacjonalizm stanie się główną siłą napędową rosyjskich polityków. Taki ewentualny stan rzeczy byłby ozymś dużo gorszym niż obecne status quo ZSRR. Skoro więc reżim eksploatuje i będzie coraz intensywniej eksploatował uzożucia narodowe, to czyż nie byłoby rozsądniej kontrolować narodowych aspiracji?

O krok dalej posunął się inny niedawny emigrant Jefim Etkind, obecnie profesor uniwersytetu Nanterre. Sołżenicyna nazywa Etkind "rosyjskim Ajatollahem" i zarzuca mu, że przygotowuje "nowe Gulagi". W odrodzeniu prawosławia nie widzi Etkind nic dobrego, przeciwnie skłonny jest twierdzić, że zarówno w carskiej Rosji jak i w państwie rosyjskim projektowanym przez Sołżenicyna prawosławie pełniłoby rolę analogiczną do roli leninizmu w ZSRR. Kropkę nad i postawił Aleksander Zinowiew: "Gdy-

bym miał wybierać między dzisiejszym Związkiem Radzieckim i Rosją idealną Sołżenicyna wybrałbym Związek Radziecki". /Etkinda i Zinowiewa cytując za Herlingiem - Grudzińskim, "Kultura" 1/2, 1980. Herling uważa, że za tymi i podobnymi wystąpieniami kryje się zazdrość skawy, schłebianie gustom Zachodu i wyścig za najszerszą publicity/.

Na temat Sołżenicyna wypowiedział się także Andriej Siniawski w obszernym wywiadzie udzielonym "The New York Review of Books" /November 22/1979/. Siniawski nie uważa się za "zapadnika", sympatyzuje z niektórymi wersjami słowianofilskimi /Bierdiajew/, czuje się przywiązany do rosyjskich tradycji. W poszukiwaniu narodowego zakorzenienia widzi zdrową reakcję na kulturalny uniformizm. Jednakże, twierdzi Siniawski, ponieważ Rosja nie są dominującą narodowością w ZSRR, zbyt często ich poczucie tożsamości staje się agresywne i szowinistyczne, pogardliwe w stosunku do Zachodu i innych narodowości w samym Związku Radzieckim. Przykładem tej wrogości jest anty-semityzm, który pełni się we wszystkich kręgach społecznych ZSRR. Razem z szowinizmem idzie w parze częstokroć postulat izolacjonizmu i wizja Rosji teokratycznej. Według Siniawskiego Sołżenicyn z biegiem lat staje się coraz mniej tolerancyjny, nie lubi liberalnej inteligencji, odrzuca polityczny pluralizm demokracji zachodnich i wolność prasy. Jego koncepcja przyczyn wybuchu rewolucji i upadku Czaratu przypomina idee skrajnej prawicy /w tym miejscu Siniawski odpowiada na wywiad z Sołżenicynem w BBC opublikowanym w "The Listener" 15 i 22 February 1979/. Ponieważ przedrewolucyjna Rosja jest dla Sołżenicyna państwem niemalże idealnym, szuka on przyczyn zwycięstwa rewolucji na zewnątrz: marksizm przyszedł do Rosji z Zachodu, Niemcy umożliwiły Leninowi dokonanie zamachu stanu, duża część przywódców bolszewickich to Żydzi /Trocki, Zinowiew, Kamieniew, Bucharin/ i Polacy /Dzierżyński/. Zdaniem Siniawskiego rewolucja nie była importowana, jej głębszych przyczyn należy szukać w wewnętrznym rozkładzie Rosji carskiej. Idealizowanie własnego kraju to dla Siniawskiego tożsamościowa forma patriotyzmu.

W obszernym artykule "Błędne rozumienie Rosji groźbą dla Ameryki" /"Misconceptions about Russia are a threat to America", "Foreign Affairs", Spring 1980/ Sołżenicyn odpowiada na zarzuty i wyjaśnia swoje stanowisko. Też jego wystąpienia jest

twierdzenie, że nie ma nierozzerwalnego związku między uniwersalną chorobą komunizmu i krajem, w którym po raz pierwszy przechwycił on władzę, tzn. Rosją. Zbyt często używa się wymiennie słów Rosja lub "rosyjski" w miejsce ZSRR lub "radziecki". Istnieje nawet swego rodzaju uprzedzenie, które nakazuje dziennikarzom zachodnim pisać np. "rosyjskie czołgi weszły do Pragi", "rosyjski imperializm", a jednocześnie "radzieckie osiągnięcia w podboju kosmosu" lub "triumfy radzieckiego baletu". ZSRR i Rosja, zdaniem Sołżenicyna, to pojęcia nie tylko stojące w stosunku do siebie w opozycji, lecz wręcz sobie wrogie. "Rosja ma się tak do ZSRR jak człowiek do swojej choroby, nie mieszamy wszakże człowieka z jego chorobą". Pomieszenie pojęć to nie tylko semantyczna pomyłka, to błąd brzemienny w tragiczne konsekwencje, uniemożliwia bowiem rozpoznanie wroga, a tym samym rozbraja zachód, gdyż zniekształca gróźbę i paraliżuje próby reagowania na nią. Wrogiem są komuniści, a nie naród rosyjski. "To co zrobili ludzie pokroju Breżniewa: zniszczenie narodowych obyczajów, zbeszeczanie zabytków i świątyń, mrczenie ludzi głodem i biedą - wykazuje, że przywódcy komunistyczni /jacykolwiek/ wyobcowali się z ludu i są obojętni na jego cierpienia."

Denerwują autora "Archipelagu GULag" prace z zakresu historii Rosji, w których, jak twierdzi, wszystko zostało podporządkowane naczelnej tezie, że Rosja od początku zmierzała do stworzenia polioyjnego państwa /jako przykład podaje książkę Richarda Pipes'a "Russia under the Old Regime"; podobnie potraktował też pracę Besançona "Les origines intellectuelles de leninisme" w notce opublikowanej w najcenniejszym zdaniem Sołżenicyna organie emigracji rosyjskiej "Więstnik rusakogo chrystianskiego dżiwienia", organie, który drukuje też takich opętanych nacjonalistów jak Szymanow; można przypuszczać, że podobną awersję czułyby do klasycznej pozycji tego gatunku "Od białego do czerwonego caratu" Kucharzewskiego/. Otóż w ^{fakt} książkach, zdaniem Sołżenicyna, dominuje "łatwe, jednostronne ujęcie, które polega na tłumaczeniu jedynych w swoim rodzaju faktów dwudziestowiecznej historii nie jako właściwych tylko dla komunizmu, jako nowych zjawisk w historii ludzkości, lecz jako czegoś, co można wywieść z odwiecznych cech narodu rosyjskiego. Nie jest to niczym innym jak rasizmem. II-wieczne wydarzenia są tłumaczone przez kruche i powierchowne analogie z przeszłością". Sołżenicyn wykazuje kto

korzysta z tego rodzaju interpretacji: "jeżeli wady i zbrodnie nie są nieodłączną cechą komunizmu, lecz mogą być przypisane w całości tradycjom rosyjskim, to nie istnieje fundamentalne zagrożenie dla świata Zachodu, można zachować różowe perspektywy odprężenia, handel a nawet przyjaźń z krajami komunistycznymi i w ten sposób zapewnić sobie komfort i bezpieczeństwo /na jak długo?/, zachodni komuniści są wolni od podejrzeń, a cały ciężar winy spada z sumienia radykałów i liberałów na krwawe rządy w przeszłości".

Ze streszczonej powyżej tezy ogólnej wypływają poszczególne wnioski. Przede wszystkim nie tylko nie należy obawiać się, ale raczej z całych sił popierać odradzanie się nacjonalizmu i prawosławia. Na całość należy spojrzeć w odpowiednim kontekście: "biologiczna vegetacja na najniższym poziomie, świadomość narodu spługawiona i poniżona, ludzie chcą podnieść się choćby na kolana i te aspiracje zostają określone na zachodzie jako rosyjski szowinizm i najgorsze zagrożenie dla ludzkości, gdy tymczasem komunistyczny potwór już czykha, aby zagarnąć nowe terytoria... W dniach, w których umiera Szelkow zesłany na 25 lat łagrów, Ogrutzew, który odsiedział już 13, Osipow 12, kiedy rozbity jest Komitet Obrony Praw Wierzących, a niezależni duchowni Ojciec Jakunia i Dudko aresztowani w okrutny sposób podobnie jak seminarzyści w Ogrodnikowie - w tych dniach prowadzi się na Zachodzie kampanię oczerniania prawosławia!!!".

Teoria, że budzące się siły narodowe i religijne oraz cyniczni przywódcy komunistyczni marzą o zespoleniu się w nową prawicę, nie zgadza się z rzeczywistością. Kto powstrzymywał ich od tego przez te wszystkie lata? Prawda jest taka, że koła narodowe i religijne w ZSRR były systematycznie prześladowane. "Czyż mamy prawo zmuszać kogokolwiek, aby wyrzekł się duchowego i narodowego pochodzenia? Czyż wszyscy nie jesteśmy uprawnieni do poszukiwania własnych korzeni nie zważając na to, co myślą inni, co piszą gazety i nie niepokojąc się, że może to być wykorzystane przez ciemne siły komunizmu?".

Sz szczególnie oburzające są dla Sokłenicyna próby zniesławiania rosyjskiego odrodzenia religijnego na przykład przez utożsamianie prawosławia z antysemityzmem. Omawiając wywiad Etkinda dla "Die Zeit" pisarz gorąco sprzeciwia się także używaniu w polemice niegodnych chwytów, a za taki uważa chwyt, który

nazywa "perskim trickiem" /ten i dwa następne cytaty wypowiedzi Sołżenicyna w "Encounter" , February 1980, wszystkie pozostałe z "Foreign Affairs"/: "Barbarzyństwo muzumańskiego fanatyzmu w Iranie łączy się w jakiś sposób z odrodzeniem prawosławia w Rosji, po to aby rzucić perski piasek w oczy tym, którzy tam mają na tyle odwagi, aby podnieść się chociaż na kolana. Jest to trick politycznie skuteczny, używany przez ludzi nieodpowiedzialnych, nie dbających o głębię, płodność i stałość przyszłych duchowych związków między Europą a wolną Rosją. Lecz właśnie ci, którzy byli ofiarami komunistycznego fanatyzmu są immunizowani na zarazę jakiegokolwiek fanatyzmu". W programach i deklaracjach reprezentantów rosyjskiej kultury i religii nie widzi Sołżenicyn jakiegokolwiek podobieństwa do irańskiej teokracji. Nie znaczy to, aby religia nie miała swojej roli do odegrania w życiu zbiorowości. Pisarz ma przed oczyma przykład Polski "gdzie Kościół mimo presji ateistycznej dyktatury pełni dobroczynną rolę w duchowym życiu narodu" i Izraela "gdzie uczucia religijne wpływają nie tylko na zachowanie się obywateli lecz również na samo funkcjonowanie państwa." I w innym miejscu: "zarzucano mi sprzyjanie państwu teokratycznemu. Nigdy czegoś takiego nie proponowałem. Sfera rządzenia i sfera religii w żadnym sensie nie pokrywają się ze sobą. Postulowałem jedynie, aby religia miała swój wkład w duchowe życie narodu... Proponuję wspinanie się do góry - XX-wieczny materializm zbyt długo utrzymuje nas w stanie podludzkim".

Gdy chodzi o inne zarzuty Sołżenicyn rozprawia się z nimi krótko i wczelwato. Mowa o "rosyjskim mesjanizmie" jest nonsensem, gdyż żaden naród w tym potwornym wieku nie może uohodzić za wybrany. Izolacjonizm? Reakcja Zachodu na propozycje zawarte w "Liście do przewodców Związku Radzieckiego" jest dla Sołżenicyna kompletnie niezrozumiała. Propozycje są jasne: wyrzeczenie się aspiracji do globalnego panowania, rozbitcie ZSRR na szereg niezależnych państw, natychmiastowe wstrzymanie wszelkich agresji. Izolacjonizm USA jest niebezpieczny, gdyż Ameryka jest głównym obrońcą wolnego świata. Cóż jednak złego w postulowaniu izolacji militarnej głównego agresora?! Nigdy nie proponowałem totalnego, a więc ekonomicznego i kulturalnego izolacjonizmu dla Rosji! Autorytaryzm? Tak nakazuje poczucie realizmu. Gdyby ludzie nieprzygotowani przeszli od totalitaryzmu do demokracji, to skończyłoby się to anarchią. Stąd konieczność drogi pośred-

niej. Porządek autorytarny to: "spokojny i stabilny sytem oparty na prawie, który nie degeneruje się w arbitralność lub tyranie". Sołżenicyn przyznaje, że krytykuje niektóre aspekty zachodniej demokracji: bezsilność w stosunku do terrorystów, rosnącą przestępczość, robienie interesów za cenę moralności publicznej, nie krytykuje wolności prasy /w mowie harwardzkiej/ ale nieodpowiedzialne i amoralne nadużywanie tej wolności. Boi się, aby demokracja nadmiernie nie osłabła. Twierdzi, że totalitaryzm powstał tylko w krajach o kruchej demokracji: Rosja po rewolucji lutowej, Niemcy po Wismarze, Chiny Chang-Kei-szeka, Republika Włoska przed Musolinim.

Artykuł Sołżenicyna kończy się dramatycznym apelem: "Bilans polityki zagranicznej Zachodu jest ujemny, zwycięstwa komunizmu pewne i tylko nieprzewidziana ideologiczna wojna między GHRN a ZSRR /która nie jest zasługą Zachodu/ ratuje go od klęski. Innymi słowy bezpieczeństwo i przeżycie Zachodu zależy od czynników, które niemal w całości leżą poza jego kontrolą... W przeddzień globalnej wojny między komunizmem a ludzkością niechże Zachód odróżni wrogów ludzkości od przyjaciół, niechże szuka sojuszników wśród przyjaciół a nie wśród wrogów. Już tyle oddano, przegrano, że dzielejszy Zachód nie przetrwa, jeżeli nie połączy się z ujarzmlonymi narodami komunistycznego świata".

"To moja rzecz, bo pospolita"

Gdzieś ponad głowami toczą się spory o kształt polskiej poezji współczesnej. Padło słowo: sukces. Sukces literacki, sukces czytelniczy, To importowane pojęcie jest w naszej sytuacji szczególnie kłamiwe. Niezależnie od sukcesu i wbrew wszelkim sukcesom, w odcięciu od pozornej dyskusji dzieje się w poezji sprawy niezauważalne, a raczej niezauważane i kto wie, czy nie one to będą o nas świadczyć wobec przyszłości. Świadczyć nie tylko o poezji, ale też o czasach, o latach trudnych, jakty zaprzeczonych ludzkich żywotów.

Jednym z najwybitniejszych zjawisk w tej prawdziwej a nie-napisanej historii literatury jest poezja Jerzego Ficowskiego. Poeta ten wydał ostatni swój tom wierszy w oficjalnym państwowym wydawnictwie "Czytelnik" w roku 1968, a więc 12 lat temu. Tom ten nosił tytuł "Ptak poza ptakiem" i łączył w sobie wszystkie wielorakie pasje życiowe i pisarskie Ficowskiego. Pamięć wojny, tragedii Żydów polskich, motywy cygańskie i folklorystyczne, obsesje schulzowskie i sarmackie, pasja słownikowo-językowa. Spajał wszystkie te sprawy nurt metafizyki, próby transcendencji, docieranie już nie do rzeczy samej, ale do rzeczy poza rzeczą, do "ptaka poza ptakiem". Potem w 1971 roku był jeszcze czytelnikowski wybór "Wiersze niektóre" i - cisza, długa cisza. Nazwisko Ficowskiego na całe lata, lata najpóźniejszej dojrzałości pisarskiej znikło z półek księgarskich i z kart czasopism. Tylko w ubiegłym roku "Twórczość" zamieściła kilka wierszy - i znówu głuche,

Mało się mówi o Ficowskim nawet w prasie "niezależnej". Nie należy pokoleniowo do "nowej fali", poetów podejmujących problematykę polityczno-moralną, robiących collage' e ze stragpów gazet. Jako poeta nie należy nigdzie, jest samobójczo sobą.

Warto pochylić się nad dwiema publikacjami, w których po dziesięciu latach przemówił poeta. Jedna to wydany przez Niezależną Oficynę Wydawniczą tom "Grypa", druga - to opublikowana "cudem" w Londynie książka "Odczytanie popiołów", którą saw-

dzięczemy Instytucji Association of Jews of Polish origin in Great Britain /London 1979/. Ani psycholog, ani socjolog nie przekazałby tak wyraziście klimatu społecznego naszego czasu jak poeta, autor tomu "Gryps". Bo poezja ta dysponuje czymś więcej jeszcze, przekazuje pasję autora, żar, jakiś najwyższy stopień napięcia. W samej poetyce Ficowskiego, w jego osobowości poetyckiej jest obecna ta wewnętrzna zaciętość, jaka niesie słowa. Język jest jakby elektrycznością sensu. Przebiega prąd wysokiego napięcia. Polityczne wiersze innych poetów mimo najlepszych intencji, są jakże często martwe, gazetowe, retoryczne. Słowa stoją obok siebie, ale nie przebiega przez nie lekka poezji, nie się nie dzieje. Tutaj wiersz jest sprężoną energią, niesie go dynamika, którą można porównać do muzycznej, gdyby nie była nierozzerwalnie związana z sensem, ze znaczeniem słów.

"Gryps" jest tomem gniewnym, rozeźlonym, gorzkim i taka jest jego prawda. Prawda sensu i prawda słowa. Są bowiem nierozdzielne. Język poetycki jest funkcją tej prawdy. Jeśli poeta zaczyna wiersz ironicznie jak wieczorną bajkę dla dzieci:

"Opowiem ci historię,..".

to jego ironia przebija przez ten zwrot pozornie łagodny i spokojny. "Opowiem ci historię"... ale jaką? "Oczyszczoną od nas". "Opowiem jeszcze ciepłą." Ciepłą jak chleb prosto z pieca? Nie - jeszcze ciepłą od oświęcimskich pieców. A więc w samym języku poetyckim, w samej materii tej poezji zawarty jest sarkazm, przewrotna dosłowność. Dosłownie traktowane utarte zwroty /jeszcze ciepła/ zostają nagle przewrócone na drugą stronę /jeszcze ciepła od oświęcimskich pieców/. Rzeczywistość językowa codzienna, potoczna, swojska zaczyna świecić nieoczekiwanie światłem grozy.

Zapowiedzią opowieści o historii rozpoczyna Ficowski tom "Gryps". Jest poetą historii i to w tym samym sensie, w jakim był nim młody Różewicz, gdy pisał: "Ocalałem prowadzony na rzeź". To znaczy jego poezja jest wyrazem historii przeżywanej przez jednostkę ludzką, historii przebiegającej człowieka jak rdze przez żelazo, historii nieopisanej, bo pisanej ludzkimi istnieniami.

Dawniej od czasów Herodota, który pierwszy użył tego słowa, historia była zapisem, była kroniką. Dziś powinno się umieć rozumieć to słowo, ponieważ historia to coś więcej niż

amięć faktów, to czasem milczenie i "białe plamy na mapie czasu", to jakaś groźna obecność, siła niszcząca i bezwzględna.

Ficowski należy do pokolenia, które świadomie przeżyło wojnę. Brak udziału w Powstaniu Warszawskim. A więc udział w stawianiu się historii. Ale wybuchy bomb i terkot broni maszynowej, ta jakby pirotechnika historii, okazała się mieć przedłużenie w innym koszarze: w historii bezruchu, pustki i zakłamania, podszytych terrorem i zniewoleniem umysłów. Historia przejawia się oto w braku powietrza, w duszności moralnej; w krzyku przez sen, w obolałej pamięci, w gruzowisku pojęć, w poczuciu płytkości czasu. Poeci filozofujący w duchu egzystencjalizmu przekazują nam poczucie przemijania i absurd śmierci. Tutaj poczucie krótkości życia ma inne źródło. Wynika ono z nieosiągalności historycznego spełnienia. Historia stała się przeraźliwie trwałą stagnacją, bezruchem, niemożliwością. Jakbyśmy byli oblepieni gęstą mazią. Zrozumielisz, że musimy czerpać czas nie miarą poszczególnej życia, ani nawet pokolenia, ale tysiącletni. Trzeba czekać tylko parę tysiącleci, aby kropla wydrążyła skałę.

Cierpliwość przestaje być cnotą, kiedy staje się wiedzą.

Mówi się o przyśpieszeniu historii w naszym wieku pełnym katastroficznego niepokoju. Ale w systemie niewoli i totalitaryzmu wydaje się, że wszystko trwa w upiornym bezruchu. "Każdy z nas os wbita w ziemię". Brak wyjścia. Klatka. Jest to jedna komponenta klimatu psychiczno-społecznego naszej strony świata.

Drugą jest utrata poczucia tożsamości. Tożsamością osobowej, to ona bowiem stanowi o godności człowieka wolnego.

Posługując się tropem metafory historycznej, używanej dość często przez poezję współczesną, Ficowski napisał wstrząsający wiersz o Owidiuszu, który wygnany z Rzymu, "zakuty w horyzont" /jak w dyby/ "pokajał się na równej drodze" /jak: upadł na równej drodze/ i został wygnany nawet z siebie. Owidiusz zdradził siebie, zaparł się swojej wewnętrznej wolności. Drugim takim exulem, tylko że wiernym prawdzie, swoim bolesnym poloniom, jest Grottger, który błąka się jakby po gruzach Warszawy po Powstaniu, zawsze żywy, choć "pośmiertny".

W domu obłąkanych poeta spotyka kogoś, kto jest w swoim mniemaniu Napoleonem. Ale jeszcze większym, prawdziwym wariatem jest dopiero ten, kto mówi, że jest sobą samym. Co za nieprawdopodobne uroszczenie! Anomalia bycia sobą, gdy wokoło wszyscy utracili już swoją tożsamość. Odwaga i wolność bycia sobą są przywilejem nielicznych w świecie, w którym wśród "fauny ciemno-

wiernych rozmnażających się przez postulowanie" - ludzie szamocą się, błądzą po omacku, szukają się wzajem po ciemku, przekazują sobie tylko charkot i krzyk.

Baśniowe szaty króla już nie zdradzają, że król jest nagi. Są to szaty "pełne nikogo", i trzeba zrewidować tego osobnika, aby sprawdzić, "czy aby w ubraniu nie przemycił siebie."

Poeta wymazany z literatury wydrwiwa w nowy sposób tylekroć parafrazowane Kartezjuszowe Cogito ergo sum:

"Myślę więc nie ma mnie
na forum Mój adres
skonfiskowano"

A w wierszu "Wywiad" powie trawestując utartą śpiewkę:

"Jakie masz środki przekazu
mam własny głos
po roście"

W wierszu "Cogito ergo" słyszymy przejmujący głos ciszy, w której tkwi wykreślony poeta.

"słychać ciszę coraz bezgłośniej
pod batutą tranzystorów
i bardzo wesołych miasteczek"

Chodzi o coś więcej niż o prawo poety do własnego głosu. Chodzi o powszechną oszupiającą ciszę informacyjną:

"Co słychać Ano po starymu"

I polszczyzna staje się niemotą, której trzeba się na nowo uczyć. Kto wie jednak, czy nie stanie się także "arsenałem dobitnie miłoścącym". Tutaj nie mowa, ale cisza mówi dobitnie.

W świecie, w którym język został zbeszczeszczony

"jeszcze tylko przekleństwa
chuligani ełów
oocaliły tożsamość"

W tym świecie milczenie ma szczególną wymowę, nie tylko filozoficzną, Norwidową wymowę międzysłowia. Coraz to wybucha krzykiem, nasąca się grozą i oczekiwaniem. Staje się świadkiem. Sąd przyszłości będzie musiał to milczenie przywołać na świadka. W świetnym wierszu pamięci Maxa Broda mówi Ficowski o człowieku, który wbrew woli autora, nie zniszczył dzieła Kafki. Ale dziś nie dość zniszczyć dzieło. Trzeba by jeszcze zniszczyć złowieszczą ciszę, w jakiej ono tkwi. Paradoks wymownego milczenia szuka i znajduje o krok inne paradoksy dziwnej epoki, w której zabija się nawet umarłych, wykreślając ich imię z pamięci narodu.

Jest to epoka, która

"nie jest drobiazgową
i nie ma czasu do stracenia
nas na stracenie ma"

Pojawia się przejmujący motyw archeologii profetycznej. Mówi o niej wiersz poświęcony pamięci poety Władysława Sebyły, który, jak wiadomo, zginął w Katyniu z pomordowanymi oficerami polskimi

"na razie ponad nimi
krząta się era Zadeptywania
epoka Spluwania przez Lewe Ramię
Kultura Zacisrania Śladów"

Ale archeolog historii i moralności wygrzebie, wyorze z ziemi usypiska kości i prawd.

Wszelkobeocną komponentą tego świata uduchowionego jest kłamstwo. Ono jest epoiwem tej rzeczywistości. Język poetycki Ficowskiego jest szczególnie uczulony na kłamstwo i szczególnie podejrzliwy wobec słów, zwrotów, utartych obrotów języka:

"Miał tylko słowa
wykręcili mu słowa
do tyłu"

Jak wygnany Owidiusz zakuty był w horyzont, tak współczesny poeta ma słowa /reçe/ wykręcone do tyłu. Oznacza to i bezradność i narzucone językowi kłamstwo. W wierszu "Z notesu" powraca ironicznie infantylny motyw: "O O frrr ptaszek leci", bo epoka nie jest epoką dorosłości. Już chyba nawet nie da się napisać drugiego "Poematu dla dorosłych" /aluzja do poematu Ważyka/. Nie da się, bo trzeba zniżać się do niedorośłego odbiorcy,

"Trzeba wyręczać prawdę
zbyt ograniczoną"

Tak mówią sobie poprawiacze mowy, pojęć i wartości.

Ta obolała liryka chwilami zamienia się w suche układanie paradoksów, opowiadanie dowcipów, szermowanie słowami dla wykrzesania z ich martwoty jeszcze choć iskry błazeńskiego gorzkiego śmiechu, gdy wzbroniony jest im sens prawdziwy.

Tego rodzaju wiersze polityczne, jakby "bez wnętrza", bez znieczulającej i zmiękczonej oliwy liryzmu odwołują się do archeologii prawdy. To nowa dziedzina archeologii, która powinna zostać stworzona, aby pokryte piaskiem zakłamania śpiące na dnie Asyrie prawdy wydobyć na światło i dopiero wtedy nazwać je historią.

"Gryps" Ficowskiego jest temem uderzająco polskim. Jego prawda jest nieprzetłumaczalna. Można przetłumaczyć słowa, ale nie doświadczenie tak dogłębne. W wierszu poświęconym swojej tłumaczce pani Lucienne Rey pisze Ficowski:

"w żadnym, żadnym krajobrazie
nie ma tyle co tu, co tu
cierpliwości cierpkich traw
płaskiego oczekania nizin

...

Ps. chciałbym to dać do zrozumienia
braciom innojęzycznym ale
obawiam się że
to nieprzetłumaczalne"

Spotyka się też aluzje znane tylko środowisku literackiemu. Gdy np. w wierszu o Słonimskim pisze poeta o miejscu po nim "pężnym wielkiego czystego powietrza nie dla palących", przypominamy sobie, że Słonimski przed każdym niemal zebraniem podnosił rękę prosząc o głos, a gdy sala w napięciu oczekiwała na jego słowa, składał wniczek o otwarcie okien i niepalenie. Nieznajomość tego faktu zresztą nie zmienia ogólnego sensu wiersza "nieśmiertelność" i nie wpływa na jego odczytanie.

Polskość tomu "Gryps" zawiera się nie tylko w treści, ale w samej materii języka poetyckiego, w ciągłym odwoływaniu się do literackich tradycji, do pieśni narodowych, powstańczych np. "leci z nich liście/ "Leci liście z drzewa", "będą pólki my" /"pólki my żyjemy"/, "umówione jawory", "tych brzoź kilka". To cytaty z wiersza osnutego w całości na motywach dziewiętnastowiecznych polskich pieśni "Pieśń o drzewach". Ale nie tylko tu - wszędzie odkrywa Ficowski żywy nurt motywów rebelii chłopskich, grotte-growskich obrazów zniszczenia, romantycznej pieśni więziennic-rewolucyjnej. Odwołuje się do mitologii polskiej, tyleż z miłością co z gorzką drwiną:

"gdzieśmy dosiedli gniadej legendy
zrobiwszy ją w konia"

A wyruszający w noc listopadową tajniacy śpiewają na nutę myśliwskiej pieśni eszlacheckiej:

"na łów, na łów, na łowy
towarzyszu mój"

Polskość nie jest tu patriotycznym frazesem. Jest głęboko wpisana w język, wpleciona w pojęcia, sprawdzana co chwila boles-

ną przewrotnością znaczeń. "Gryps" daje obraz zniewolenia i jest wyrazem wewnętrznej wolności. Wymowny tytuł sugeruje, że jest to przekazany przez mury więzienia zwitek papieru z wpisanymi weń słowami nadziei i otuchy, "póki my". Gryps - słowa prawdy przemycane poprzez kraty kłamstw i oszczerstw.

W tym tonie historia powinna mieć na imię sumienie. Bo jest to poezja rozjątrzonego, zapalnego sumienia, i rozpaczliwej obywatelkiej odpowiedzialności.

Sumienie jest także podstawą drugiego z wymienionych tomów: "Odczytanie popiołów". Jest to swoisty, rozpisany na osobne wiersze poemat, poświęcony tragedii okupacyjnej Żydów polskich. Autor "Listu do Marca Chagalla" wraca znów do tego tematu, jakby nie mógł się z nim rozstać. Nie rozstaje się z nim nigdy. Każdy tom wierszy Ficowskiego zawiera wiersze na ten temat. Jest to historia, ale historia ciągle żywa, ciągle nurtująca sumienie, "do dziś kłująca ość".

Ileż było już parafraz słynnego wiersza Różewicza:

"Ocalałem
prowadzony na rzeź"

Ficowski powie z rozpaczliwą bezradnością:

"Nie zdołałem ocalić
ani jednego życia".

Dlatego właśnie sprawa ocalenia pamięci staje się nakazem jego pisarskiego sumienia. Od lat, zawsze i żarliwie, wbrew wszelkim modom tematycznym - on pamięta. Według zdania z wiersza włoskiego poety, laureata Nobla - Quasimodo, poeta to ten, kto nie zapomina.

Piękny tom "Odczytanie popiołów" trudniej jest przedstawić i opowiedzieć, trudniej zdać z niego sprawę. Tutaj milczenie międzysłowne inny ma sens. Tutaj milczenie smuje się jak dym za każdym wierszem. I tylko milczenie może być odpowiedzią. Milczenie i głębokie wzruszenie. Chyba jedynie poezja Ficowskiego po wojnie przyniosła taką pełnię współ-boleści, współ-ozucia, współ-pamięci ze zgładzonym narodem Żydów polskich.

Im bardziej tragedia ta zostaje zapomniana lub umyślnie wypychana w niepamięć społeczną, tym bardziej staje się konieczne rozjarzanie tej pamięci. W wierszu o Januszu Korozaku mówi Ficowski: "pełno ich nigdzie". Gdyż prawdą jest, że w niektórych miejscach ziemi nie tylko oni zostali zgładzeni, ale też ich lament, ich płacz, pamięć o nich:

"przez tysiąc dziesięćset lat
rzucali szlochom o ścianę

więc im wzniesiono
cztery ściany placzu.

i w czterech ścianach
zgodzone dokładnie
placz wszystkich
i placz tego placzu
i kzę dziesiątą po jankielu
do ostatniego pokolenia
leż"

Gra tutaj poeta, mimo prostoty wiersza, bardzo kunstwową strukturą napomknień kulturowych, buduje wiersz z pogłosów Biblii i wspomnienia narodowego poematu romantycznego /Jankiel z Pana Tadeusza/ i z języka informacyjno-gazetowego. I te, dziwiące się sobie elementy wiążą się w wizję, jak to bywa często u Ficowskiego, paradoksalne, pół-drwiące, pół-rzeczne, wywołujące głęboki wstrząs. Tym, co unosi ten poemat /jak uniesienie brwi/ to ogromne zdziwienie, okrzyk zdziwienia, że to się stało, że to mogło się stać! Wiersze te bez znaków przestankowych /z wyjątkiem dawniejszego Listu do Marca Chagalla/, bez wykrzykników, powinny być opatrzone wielkimi znakami zdziwienia, gdyby pisownia znała takie znaki.

Sumienie i pamięć współtworzą ten bolesny poemat, bo:

"pamięć błędnie
nie ze zgrozy
tak od trzydziestu błędnie lat
I milozą miliony milożeń"

Jakże wielorakie, wieloznaczne jest tu milczenie. Milczenie umarłych. Milczenie zgrozy tych, którzy na ich zagładę patrzyli. Milczenia, które chce zakłajstrować zbrodnię, zaszuwać, zatrzeć ślady. Coraz to jesteśmy świadkami "egzekucji pamięci". Ta wieloznaczność milczenia sięga samego jądra poezji:

"chciałbym tylko milożyć
a miloząc kłamie
chciałbym tylko iść
a idąc depczę"

Także i piszący o poecie ma pokusę uczcić jego dzieło milczeniem, bo słowo krytyczne nie udźwignie wzruszenia. A przecież musi, na ile to możliwe, pokonywać to milczenie po to, aby po tym, co zaszkło, możliwe jeszcze było zwyczajne życie i istnienie. Tak uwikłani musimy się poddać ostatecznej instancji wzruszenia i przystać na nieustanne krecie "wyrzuty ziemi", wyrzuty sumienia, na tę znowu jak w "Grypsie" archeologię prawdy.

Obie książki Jerzego Ficowskiego, choć tak różne w wyrazie i w charakterze, wyrastają z tej samej pasji, którą tu nazwano pasją archeologii moralnej, a można pod nią podłożyć słowa: sumienie, historia, odpowiedzialność.

W "Grypsie" sprawa tożsamości osobowej jest bardzo ważna. I tu, w "Odczytaniu popiołów" wyraża się ta druga pasja - pasja poszczególności, osobowości. Poeta mówi o masie, tłumie, narodzie pomordowanych, ale z czułością pochyla się nad osobnymi ietnieniami. "Sześćioletnia z Getta żebrząca na Smolnej w 1942 roku", "Wniebowzięcie Miriam z ulicy zimą 1942", "5.VIII.1942" /Pamięci Janusza Korczaka/, "Zbiegowisko kamieni" - wstrząsająca wiersz, w którym osierocony ojciec akłada wiechetek zieleni "prosto w ręce swojej córki Rachel"

"bo tu wszędzie są ręce

jego córki Rachel"

Wiersz poświęcony Bronisławowi Anlenowi. Czułość imion. Czułość pamięci. Czułość obu matek - żydowskiej i polskiej z pięknego wiersza "Twoje matki obie" poświęconego żonie Bicie.

Mówić o "Odczytaniu popiołów" jest trudno. Te wiersze we wszystkich językach ziemi powinny same świadczyć o niszczącej sile nienawiści i o trwałości kruchego dobra. Największym z tych kruchych dóbr, jak w Biblii, jest zawsze ludzkie życie.

A.S.

Jerzy Ficowski. Gryps. Niezależna Oficyna Wydawnicza. 1979. Str. 60.

Jerzy Ficowski. Odczytanie popiołów. Association of Jews of Polish Origin in Great Britain. London 1979. Str. 37.

Rozmowa Sikorskiego z Beneszem

Dzieje stosunków polsko-czechosłowackich podczas II wojny światowej należą do najbardziej dramatycznych rozdziałów historii dyplomacji w tym burzliwym okresie. Przypomnijmy pokrótce jak historia ta się rozwijała.

Pierwsze kontakty rządu Sikorskiego z nieuznanym jeszcze na Zachodzie rządem Beneša miały miejsce już w październiku 1939 roku w Paryżu. Anglia uznała rząd Beneša 21 czerwca 1940 roku, a w osiem dni później uczyniła to Polska, akredytując przy nim swego stałego przedstawiciela /Kajetan Morawski/. Pierwsze oficjalne spotkanie obu rządów miało miejsce w Londynie w Domu Polakii 11 października 1940 roku. Omawiano wówczas projekt konfederacji obu państw. Owocem tego spotkania był list Beneša do Sikorskiego /1 listopada/ i odpowiedź Sikorskiego /3 grudnia/. Już wtedy zarysowała się różnica zdań na temat polityki wobec Związku Radzieckiego. Wszystkimi tymi krokami do zbliżenia towarzyszyło entuzjastyczne przyjęcie prasy polskiej, czechoskiej i angielskiej.

Podczas następnego spotkania, które odbyło się 26/27 stycznia 1941 roku Beneš przekonywał Sikorskiego, że w nadchodzącej wojnie Niemiec ze Związkiem Radzieckim należy, w interesie obu państw, stanąć po stronie ZSRR. I znowu nastąpiła wymiana listów między obu politykami, ale znowu pozostał rozdział w kwestii prowadzenia polityki wschodniej.

Mimo to, w styczniu 1941 roku powstała Czecko-Polska Komisja Koordynacyjna, której zadaniem było opracowanie zasad konstytucyjnych dla przyszłej konfederacji państw. Kolejne miesiące przyniosły ożywione kontakty zarówno w ramach Komisji jak i pomiędzy rządami.

Wybuch wojny między Niemcami i Związkiem Radzieckim zmienił zupełnie sytuację polityczną i wy dobył na jaw sygnalizowany przedtem konflikt. 6 października Beneš relacjonował Sikorskiemu rozmowy, jakie ambasador czechosłowacki toczył w Moskwie na temat stosunku ZSRR do układów polako-czeskich i sugerował realistyczny, zgodny z polityką aliantów kierunek polityki obu państw wobec Związku Radzieckiego. W liście tym zawarte było także żądanie uznania granicy polako-czeskiej "oprzed 1938 roku. Na wymijającą odpowiedź Sikorskiego /21 października/ Beneš przesłał /25 grudnia/ utrzymany w tonie agresywnym list, w którym ponowił swoje żądanie.

Równocześnie, to 4 listopada, Czesko-Polska Komisja Koordynacyjna zebrała się w celu przedyskutowania Aktu Konstytucyjnego Związku Polako-Czechosłowackiego - obie strony przedstawiły własne propozycje. 19 stycznia 1942 roku Komisja zaakceptowała bardziej umiarkowaną wersję czeską /ofiojalna umowa została podpisana 23 stycznia/.

Jednak był to czas, gdy szczyt entuzjazmu związanego z próbą tworzenia konfederacji polako-czechosłowackiej dawno już minął - temperatura wzajemnych stosunków gwałtownie spadała.

Rozmowa Sikorskiego z Benešem, z której nigdy przedtem nie publikowane sprawozdanie przedstawiamy, odbyła się w tym właśnie okresie. W styczniu 1942 roku Sikorski podjął inicjatywę sблиżenia małych państw Europy Środkowej i Środkowo-Wschodniej. I to jest właściwie główny temat rozmowy z Benešem. Na marginesie warto wspomnieć, że na inicjatywę Sikorskiego gwałtownie zareagował Roosevelt. Już 7.03.1942 pisał on w instrukcji do podsekretarza stanu Sumnera Wellesa: "Uważam, że należy całkowicie zniechęcić Sikorskiego do jego koncepcji. Nie nadasz już jeszcze czas na omawianie powojennej pozycji małych państw. Zwłaszcza, że może to doprowadzić do poważnych komplikacji z Rosją." Dużą część rozmowy Beneša z Sikorskim poświęcono jest owej kwestii spornej - stosunkowi Polski i Czechosłowacji do ZSRR.

Dalsze wypadki postępowały z nieubłąganą konsekwencją; polityka promoskiewska Zachodu, aktywność radzieckich kół dyplomatycznych w celu reszcia związków polsko-

czeskich, realistyczna polityka Beneša, nakazująca pertraktacje ze Stalinem i "honorowa" Sikorskiego, spychająca rząd polski na margines życia politycznego Europy, musiały doprowadzić do rozbroja z takim trudem osiągniętych układów - nota Jana Masaryka do Raczynskiego z 14 maja 1943 roku i deklaracja Raczynskiego z 25 maja przyspieszowały ich los. Pozostały tylko urazy i wzajemne oskarżenia. Historia zarówno "realizm" Beneša jak i "politykę honoru" Sikorskiego potraktowała z równą bezwzględnością - walec polityki zagranicznej Związku Radzieckiego sdruzgotał wszelkie nadzieje.

4 lutego 1942 r.

Ścisłe tajne

S p r a w o z d a n i e

z rozmowy Prezesa Rady Ministrów Generała Sikorskiego
z Prezydentem Benešem dnia 3-go lutego 1942 r.

- - - - -

Spotkanie odbyło się w siedzibie urzędowej Prezydenta Beneša w Poselstwie Czechosłowackim w godzinach popołudniowych /15.30 - 17.00/. Generałowi Sikorskiemu towarzyszył Sekretarz Generalny Ministerstwa Spraw Zagranicznych Morawski.

Rozmowę rozpoczął Generał SIKORSKI, stwierdzając, iż od dłuższego czasu już nosił się z myślą podjęcia inicyjatywy ściślejszego sprecyzowania wzajemnych stosunków 8 państw sprzymierzonych Europy Środkowej i Środkowo-Wschodniej, których rządy znajdują się w chwili obecnej w Londynie. Nie chodziło mu przy tym oczywiście o tworzenie bloku czy konferencji na wszr układów regionalnych łączących Polskę z Czechosłowacją czy Grecją z Jugosławią, lecz o ogólne stwierdzenie solidarności państw od Grecji po Norwegię oraz zachodnich sąsiadów Niemiec /Holandię, Belgię, Luksemburg/ wobec konkretnych zadań, które wspólnie przed nimi stają. Projekt swój przygotowywał stopniowo, przeprowadzając szereg rozmów prywatnych. W pierwszym okresie spotykał się niejednokrotnie z zastrzeżeniami i wątpliwościami. Obecnie po rozmowie z kilkoma członkami Rządu Belgijskiego /pp. Spaak i

Jasper/, Rządu Jugosłowiańskiego /Gavriloitch/ i Rządu Greckiego /Premier Tsouderos/ oraz Ks. Piotr Grecki/ doszedł do wniosku, że sprawa dojrzała. Dlatego zdecydował się wystąpić z nią oficjalnie i pierwszy taki krok oficjalny podejmuje, zgodnie z łączącym nas z Czechosłowacją stosunkiem, wobec Prezydenta Beneša.

Układ czy pakt 8 państw powinien, zdaniem Generała Sikorskiego, uwzględnić następujące momenty:

- 1/ stwierdzić, że Niemcy byli zarówno w tej jak i w poprzedniej wojnie światowej głównym agresorem;
- 2/ że stwierdzenia tego wyciągnąć konsekwencje odnośnie przyszłego traktatu pokojowego, który, unikając błędów roku 1918, musi być realistyczny i oparty na przeświadczeniu, że naród niemiecki jest i będzie nadal nęciicielem pokoju w Europie;
- 3/ ponownie postanowić, że Niemcy wojakowi i cywilni, którzy dopuścili się w ciągu wojny pogwałcenia prawa międzynarodowego i moralnego, będą ukarani;
- 4/ stwierdzić, że dla zabezpieczenia pokoju ofensywny potencjał przemysłowy Niemiec winien być zredukowany, a potencjał obronny państw sąsiadujących z nimi winien być wzmocniony;
- 5/ ponownie oświadczenie sygnatariuszy, że nie zawrą z państwami Osi odrębnego pokoju;
- 6/ postanowić, że państwa podpisujące układ także i po zwycięskim ukończeniu wojny utrzymają między sobą ścisłą współpracę polityczną, gospodarczą i wojskową.

Prezydent BENEŠ, który w początku rozmowy wydawał się jak gdyby lekko dotknięty tym, że sprawa paktu była omawiana poprzednio bez jego udziału, przyjął z wyraźnym zadowoleniem stwierdzenie Generała Sikorskiego, że pierwszą oficjalną swą inicjatywę skierowuje do Rządu Czechosłowackiego. Oświadczając swą zasadniczą zgodę, wyraził Prezydent Beneš zastrzeżenie tylko co do wrażenia, jakie tego rodzaju układ mogłoby wywołać u Anglii, Stanów Zjednoczonych i Rosji, przy czym podkreślił, iż powiadomienie ich o zamierzonej akcji i uzgodnienie jej z nimi uważa za konieczne.

Generał SIKORSKI w odpowiedzi stwierdził, że Premiera Churchill'a zapoznał już w ogólnych zarysach ze swymi zamiarami. Co do Stanów Zjednoczonych, to nie wątpli, że reakcja ich będzie raczej korzystna. Jeżeli zaś chodzi o Rosję, zgodził się Generał z tym, że musi być ona również we właściwym czasie poinformowana, wyrażając równocześnie zdanie, że pakt nie powinien zawierać

nic, co by było dla Rosji szczególnie drażliwe, tym bardziej, że charakter jego będzie na zewnątrz wyraźnie antyniemiecki.

Generał Sikorski zaproponował wreszcie, aby Rząd Polski i Rząd Czechosłowacji przystąpiły już formalnie do prac nad redakcją paktu 8 państw z tym, że w razie zadawalającego postępu mogłyby wystąpić wobec innych partnerów z wspólną inicjatywą.

Wobec zgody Prezydenta Beneša delegował Generał Sikorski do dalszych rozmów ze strony Rządu Polskiego Sekretarza Generalnego M.S.Z. Morawskiego, a Prezydent Beneš wyznaczył w tym samym charakterze Ministra Ripkę.

Rozmowa seszła następnie na stosunek Polski i Czechosłowacji do Rosji Sowieckiej.

Prezydent BENEŠ podkreślił, że Z.S.R.B. interesuje się już w chwili obecnej bardzo szczegółowo polityką państw Europy Środkowo-Wschodniej i obserwuje wszystkie nasze podzięknięcia. Zwycięstwa Rosji uczynią w przyszłości zainteresowanie to jeszcze bardziej realne. Nie można będzie Rosji jako wielkiemu mocarstwu odmówić prawa do sądenia, że układ stosunków politycznych w tym rejonie Europy dotyczy bezpośrednio jej interesów. W odbytej niedawno rozmowie oświadczył mu Małsky, że pertraktacje Stalin - Eden w żadnym punkcie nie dotknęły interesów Czechosłowacji w sposób ujemny. Przeciwnie, Rosja Sowiecka życzy sobie, ażeby Czechosłowacja była możliwie silna. Na sapytanie, jak sobie Rosja silną Czechosłowację wyobraża, odpowiedział mu wówczas Małsky, że o tym decydować winna sama Czechosłowacja. /Generał Sikorski dorzucił w tym miejscu, iż na podstawie doświadczeń swoich moskiewskich przypuszcza, że Sowiety skłonne byłyby namawiać Czechów do ekspansji na zachód, nie licząc się może z kłopotem, jaki by im powstał przez przyrost ludności niemieckiej/.

W każdym razie - ciągnął dalej Prezydent Beneš - liczyć się należy z faktem, że Sowiety na wypadek zwycięstwa nad armią niemiecką zechcą pomaszerować naprzód w głąb Rzeszy. Trzeba by na ten wypadek uzyskać gwarancję, że dajmy na to Berlin będzie zajęty przez wszystkie wojska alianckie równocześnie, czyli, że wkroczą tam obok ozerwanej armii równocześnie i w możliwie dużej sile oddziały angielskie, amerykańskie, polskie, czeskie, a może i belgijskie i holenderskie. Do rozważenia jest poza tym sprawa przemarszu wojsk rosyjskich przez państwa sprzymierzone, położone między Z.S.R.B. a Niemcami. Prezydent Beneš liczy się z tym, że Sowiety w razie zwycięstwa będą chociażby pójść przez

Węgry na Wiedeń. W takim wypadku przemaszerowałyby zapewne przez terytorium Rusi Przykarpackiej. Pragnąby natomiast uzyskać gwarancję, że w żadnym wypadku nie wkroczą na terytorium rdzennie czeskie i słowackie. Również oholąby się z góry zabezpieczyć, że jego połącznoscia z zakresu polityki wewnętrznej, dotyczące przede wszystkim powozecznej mobilizacji i utrzymania na pewien czas stanu wojennego, nie będą wówczas przedmiotem jakiegokolwiek ingerencji ze strony Sowietów. Wszystko to wymaga rozmów z ZSRR.

Generał SIKORSKI odparł, że mógłby uznać prawo Rosji jako wielkiego mocarstwa do zainteresowania się stanem rzeczy w Europie Środkowo-Wschodniej, nie mógłby natomiast w żadnym wypadku akceptować jakiegokolwiek ingerencji Kominternu lub ekspansji komunizmu. A jak jedno od drugiego oddzielić? Co do przemaszeru wojsk, to jest on realista i zdaje sobie sprawę, że Rosja, idąc na Niemcy, nie może nie naruszać terytorium Polski. Będzie domagał się jednak, aby przemaszer ten objął terytorialnie jak najmniejszą część ziem polskich, był np. skierowany na Prusy Wschodnie i dotknął w takim razie przejściowo tylko części Pomorza Polskiego. Samo się przez się rozumie, że przemaszer taki odbywał by się tylko mógł na warunkach, jakich możnaby udzielić armii choćby sprzymierzonej, ale obcej. Władzę na terenie Polski mogą objąć tylko urzędy polskie, wyznaczone przez rząd, a obrona tych ziem przypaść musi żołnierzom polskim. Do wyjaśnienia sytuacji przyczynią się m.in. wydane ostatnio przez Generała Sikorskiego zarządzenia, którymi podporządkował bezpośrednio sobie jako Naczelnemu Wodzowi organizacje wojskowe w Polsce, nadając im charakter regulanych oddziałów. Oficerowie i żołnierze polscy organizacji w kraju tworzą już dzisiaj taką samą część Armii Polskiej jak oddziały znajdujące się w Anglii, w Afryce czy w Rosji. Tu jak i tam powierzone jest rozkazodawstwo wyznaczonemu przez Naczelnego Wodza generałowi. Ze strony Sowietów były próby ingerencji w akcję dywersyjną na terenie Rzeczypospolitej. Generał w czasie pobytu w Moskwie stanowczo się temu przeciwstawił i zawarł porozumienie z władzami wojsk sowieckich, usuwając samodzielną akcję sowiecką. Następnie w Londynie były ze strony delegatów N.K.W.D. ponowne próby zawarowania współdziałania Sowietów, ale Generał je odrzucił, posuwając się aż do groźby zerwania rozmów. W rezultacie przedstawiciele sowieccy ustąpili i punkta postawione przez Generała w Moskwie zostały przez nich w pełni akceptowane.

Prezydent BENEŠ oświadczył, że miał na ten sam temat rozmowy z przedstawicielami Ambasady Sowieckiej i że on również odrzuca w pełni ingerencję sowiecką w akcję dywersyjną, prowadzoną na terytorium Czechosłowacji. Podkreśla to, że pragnie, aby Polska wiedziała, że jego dążenie do przyjaznego współżycia z Rosją nie oznacza wcale, aby w jakimkolwiek stopniu akceptował mieszanie się Z.S.R.R. do spraw wewnętrznych Państwa i Narodu Czechosłowackiego.

Denis de Rougemont, "L'AVENIR EST NOTRE
AFFAIRE, Editions Stock, Paris 1977, s.370

Znany szwajcarsko-francuski intelektualista, autor kilkudziesięciu poczytnych książek traktujących o kulturze europejskiej w przeróżnych jej aspektach, działacz ruchu ekologicznego i ruchu na rzecz samorządności regionalnej wspólnot lokalnych /autogestion/ pisze manifest trudnego optymizmu. Analizuje szeroko: kluczowe zagrożenia cywilizacji: "degradację stosunków międzyludzkich w wielkich miastach" i "agresję techniczną przeciw całej Naturze - mineralnej, roślinnej, zwierzęcej i ludzkiej". Opiscwi tych wszystkich znanych niebezpieczeństw współczesności towarzyszy wyjaśnienie, zgodnie z którym winę za nie ponoszą państwa-narody ukształtowane na dobre okół epki napoleońskiej jako wykwit i narzędzie nowoczesnej wojny. Gdyby na tym opisie stanu rzeczy oprzeć wizję futurologiczną, byłaby ona bez reszty apokaliptyczna. Autor nie chce jednak takiej wizji budować, uważa, że przyszłość należy i można świadomie na obecnym etapie wybrać. Potrzebna jest odpowiedzialna polityka całej ludzkości oparta na odpowiedzialności indywidualnych ludzi. O rzeczywistej odpowiedzialności jednostki mówić możemy tylko w ramach wspólnoty "destatecznie małej by głos poszczególnego człowieka był w jej ramach słyszalny." Stąd ciężenie ku idei decentralizacji, samorządności regionalnej. Jednocześnie sytuacja wymaga by ludzkość jako całość, a choćby i Europa jako całość, wypracowała wspólną politykę, to jest wybór priorytetów. Stąd ciężenie ku idei szerokiej federacji. Państwo-naród jest jednocześnie za duże i za małe by odpowiedzieć na wyzwania współczesności.

Ivan Illich, LE CHOMAGE CREATEUR, Editions
du Seuil, Paris 1977, s. 89

"Tematem tego eseju jest polityka "convivialna" i walka na rzecz równego podziału wolności tworzenia wartości użytkowych" - stwierdza autor sytuując tę niewielką książkę w pozycji pointy wieloletniej refleksji, która znalazła swe najpełniejsze rozwinięcie w poprzedniczej jego książce - "La convivialité" /Ed. du Seuil - 1973/. Tam od analizy funkcjonowania takich instytucji jak szkoła i medycyna i takich narzędzi jak samochód przechodził do wniosków ogólnych na temat stosunku narzędzi używanych przez dane społeczeństwo do takich wartości jak sprawiedliwość czy wolność. Tu natomiast formułuje Illich myśli konkretne na temat walki z "monopolem radykalnym" to jest sytuacją zastąpienia produktem przemysłowym lub zawodowo wykonywaną usługą /co jeszcze poważniejsze/, celowych choć podejmowanych nieprofesjonalnie działań ludzi we własnym życiu i w życiu najbliższego otoczenia. W imię tej walki domaga się autor prawa do "twórczego bezrobocia", to jest do "bycia użytecznym sobie i innym w inny sposób niż poprzez zawód lub stanowisko". "Tylko poprzez rozprzestrzenienie się twórczego bezrobocia, w przestrzeniach wolności instytucjonalnie zagwarantowanych, może być przywrócona do poziomu możliwego do tolerowania zawodowa opieka nad współczesnym człowiekiem". "Walka w tym kierunku może być prowadzona tylko przez wspólnoty zdecydowane na wyzwolenie się z monopolu radykalnego pieniądza i towaru nad środowiskiem życia." Owa wolność tworzenia wartości użytkowych "zakłada granice bogacenia się i zatrudniania." Książka, jak zwykle u Illich'a, napisana językiem niekiedy zawiłym lecz operująca od czasu do czasu obrazami i efektownymi przykładami.

"/.../ w kryzysie, który przechodzimy, w zakwestio-
nowaniu naszej cywilizacji: tak lekko odrzucaanej, po-
tępianej przy użyciu słusznych argumentów, wobec nie-
obecności innych obrońców niż faszystowskie pałki,
trzeba spróbować raz jeszcze obejrzeć jak w lustrze
siebie samych, spróbować wyodrębnić naszą prawdziwą
twarz spośród masek, i mimo jej grymasów znów uchwy-
cić naszą prawdę zanim nastąpi jej ostateczne od-
kształcenie, które zresztą nie każe nam na siebie
czekać zbyt długo". Nie chodzi przy tym o apologety-
kę." Ale obliczu wzrastania nienawiści i potępień
wobec zachodniego świata, w obliczu samobójczej egza-
ltacji wielu Europejczyków, chodzi - dla mnie, który
atakował społeczeństwo techniczne i naukową racjonal-
ność - o to, by pokazać, że Zachód jest jeszcze czymś
zupełnie innym - wartością niezastąpioną, i że koniec
Zachodu oznaczałby dziś koniec wszystkich możliwych
cywilizacji." Powyższe ^{słowa}, zaczerpnięte ze wstę-
pu, najlepiej oddają sens zadania, jakie autor przed
sobą postawił. Książka nosi charakter publicystycz-
nego eseju napisanego z rzadko spotykaną gwałtowno-
ścią. Ellul odcinając się od prawicy kultywującej
"zachodnią pychę", dokonuje z drugiej strony czegoś,
co można by nazwać demaskacją demaskatorów zachodniej
cywilizacji, wskazując w jaką bezmyślność bądź stereot-
typy myślenia zwykli się staczać w pogoni za uspo-
kojeniem sumienia europejskiego. Sumienia, które
składają na powody być niespokojne /wziąwszy pod uwa-
gę wszystkie nieszczęścia jakie Europa przyniosła
światu/, ale które traci niekiedy świadomość, iż ten
właśnie niepokój zawdzięcza głębokiemu przeżywaniu
wartości pozytywnych, które przecież również Europa

świata przyniosła /jak idea wolności czy poszanie-
wania jednostki/. Ten niepokój sumienia jest więc
w istocie niepokojem niedorastania do własnej
wielkości o czym sami "niepokojący się" zbyt czę-
sto zapominają - zdaje się mówić autor. Ellul za-
uważa ponadto, że nasza cywilizacja jest zbudowa-
na na krwi i rabunku, ale każda cywilizacja była
tak zbudowana, również te, nad którymi się litu-
jemy bo je zniszczyliśmy. W końcu znajdziemy rów-
nież w książce refleksje na temat "tajemnicy Za-
chodu" polegającej zdaniem francuskiego history-
ka na przeciwstawięciu w łonie naszej cywilizacji elemen-
tów sprzecznych: wyzwania rzuconego przez czło-
wieka /tradycja rzymska i grecka/ z wyzwaniem rzu-
conym przez Boga /chrześcijaństwo/. Dwudziesto-
wieczne zwycięstwo człowieka nad Bogiem pociąga-
jące za sobą "wielkie zamknięcie" tego człowie-
ka okazuje się zwycięstwem pyrusowym - odbiera
Europie jej sens najgłębszy, możliwy tylko w ście-
raniu się wspomnianych sprzeczności.

Isaiah Berlin, AGAINST THE CURRENTS. Essays
in the History of Ideas, The Hogarth Press,
London 1980, s. 394

Obok siebie w galerii Berlina stoją portrety
Vico, Machiavella, Marksa, Hessa, Herzena, Sorela
Oddając sens i temperaturę myśli, tych, którzy
stanęli nad prąd epoki, uwypuklając to, co stano-
wi o oryginalności i wielkości każdego z tych
myślicieli Berlin nie zapomina o swojej współczes-
ności. Poprzez ich myśl pokazuje zasadnicze prze-
łomy, jakie dokonywały się w teorii politycznej,
przełomy, które ^{wiodło} na naszych rozważaniach i

naszym obrazie współczesności. Autor "Księcia" zajmuje tak ważną rolę w pracy Berlina, bowiem przeciwstawił się panującemu od czasów Platona przekonaniu o istnieniu jednej, niesprzecznej etyki odnoszącej się do całej rzeczywistości. Vico - ponieważ zakwestionował roszczenia sojentyzmu. Cor - bowiem odrzucił wizję harmonijnego porządku, w którym kwestie ostateczne dają się sprowadzić do rozwiązań czysto technicznych. Historyk idei Isaiah Berlin pozostaje liberałem, który patrzy na świat i rzeczywistość myśli politycznej poprzez pytania o naturę wolności, pluralizmu w sferze etycznej, estetycznej i poznania. "Against the Current" to zbiór tom spośród szeregowane. Odcioji dzieł wybranych Berlina. Pierwszy "Russian Thinkers" obejmuje wyłącznie myśli rosyjską /arsje o Tokstoju. Turgieniewie, populizmie/, drugi rozważania filozoficzne "Concepts and Categories". Czwarty tom, który ukaże się w roku przyszłym ma nosić tytuł "Personal Impressions" i zawarte w nim będą szkice m.in. o Churchillu, Weizmannie, Huxleyu, Einsteinie.

